

BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET

O B E J M U J A C E

ARTYKUŁY O WYCHOWANIU ESTETYCZNYM I MORALNYM,

POEZYJE, POWIEŚCI, OBRAZKI DRAMATYCZNE, ORYGINALNE I TŁUMACZONE,

ŻYCIORYSY ZNAKOMITSZYCH LUDZI, KRONIKĘ WIADOMOŚCI KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH, SPRAWOZDANIA

Z LITERATURY, MUZYKI I SZTUKI, WIADOMOŚCI Z HYGIENY

ORAZ

na osobnym dodatku

RYSUNKI MÓD, HAFTÓW, ROBÓTEK WRAZ Z ICH OPISEM

TOM XVIII.

↓
[1882]



18376
7366



WARSZAWA.

Nakładem MICHAŁA GLÜCKSBERGA księgarza,
ulica Nowy Świat Nr 1250 (nowy 55).

1882.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie XVIII^{ty}m Bluszczu

OD 1 STYCZNIA DO 31 GRUDNIA 1882 R.

A. Część literacka.

	Stronnica	Stronnica
Artykuły o wychowaniu moralnem, życiu rodzinnem i społecznem.		
Entuzjastka-żona, przez M. Ilnicką	98	
Entuzjastka-matka, p. M. Ilnicką	161, 169, 177	
Nie tradycyi, p. M. Ilnicką	89	
Z życia, p. M. Ilnicką	25, 121, 153, 209	
Artykuły o postępie w pracy, dobrobycie i wykształceniu kobiety.		
Kronika działalności kobiecej, p. M. Ilnicką	38, 47, 71, 87, 111, 135, 151, 167, 182, 199, 231, 310, 327, 360, 375, 397	
Praca cicha, p. Wielisława	302	
Schronienie dla nauczycielek, p. M. Ilnicką	225	
Wystawa robót szkolnych z Kołomyi, przez Wl. N.	297	
Z Pedagogiki.		
O działalności nauczycielskiej Kaz. Brodzińskiego, słów kilka przez M. P.	100, 108, 119	
Teoria i praktyka w zawodzie nauczycielskim, p. M. Ilnicką	305, 313, 321, 330	
Zjazd pedagogiczny w Kołomyi, przez Nowickiego	265, 275, 284	
Życiorysy, szczegóły biograficzne i wspomnienia pośmiertne.		
Asnyk Adam i poezye jego (z portretem) p. M. Ilnicką	1, 9, 17	
Garibaldi Giuseppe, p. M. J.	185	
Krajewska Anna z Lewickich, przez M. Ilnicką	361	
Krakowowa Paulina (z portretem) p. M. Ilnicką	57, 65	
Longfellow Henryk Wadsworth (z portretem)	137, 147, 154	
Młocki Alfred (z portretem) p. S. K.	129	
Pamiętnik królowej Wiktorji	172	
Wspomnienie poety (Petöfi) zyciorys, przez M. I.	345, 353, 363, 370, 378, 388	
Studia historyczne, literackie i naukowe.		
Gniazdo hetmańskie, studjum obyczajowe z XVII wieku, przez Maryana Dubieckiego	28, 35, 44, 53	
Grobowiec króla Pokutnika, przez St. Krzezińskiego	337, 348, 358	
Miłość wieków ubiegłych, studjum z przeszłości, p. Mar. Dubieckiego	201, 210, 267	
Sąd Kanta o kobietach, przez B. D.	62	
Powieści, utwory dramatyczne i opowiadania.		
Figiel ostatni pana Wojszczyca, przez Józefa Blizińskiego	346, 355	
Klejt, komedia w jednym akcie, przez Al. Dreifussa przekład z francuzkiego	235, 245, 252, 261, 271, 279	
Królewiec i Grunwald, opowiadanie historyczne przez Felixa S.	273, 282, 290, 299, 306, 314, 322, 332, 339	
Miłość bezwiedna, nowella przez St. Korczaka	243, 250, 258, 266	
Na Bialskim zamku, powieść historyczna z czasów Augusta III, przez J. I. Krajszewskiego 3, 10, 19, 26, 34, 41, 50, 58, 67, 73, 83, 90, 98, 106, 114, 123, 130, 138, 148, 156, 162, 171, 178, 187, 194, 211, 217, 226, 233		
Pozytywizm w praktyce, powieść przez Sewera	362, 369, 377, 382, 394, 403, 410	
Podróże i opisy krajów.		
Kartka do dziejów cywilizacji (Droga do wnętrza Afryki) p. Dr. A. Rehmana	60, 70	
Wyprawa do Tonkinu, p. Dubarda przekład z francuzkiego 181, 190, 207, 215, 229, 238, 248, 264		
Z Rzymu do Neapolu, p. Aniele Trypplin	407, 416	
Życie w Chinach i Japonii, p. A. Dubarda	287, 296, 303, 311, 318, 326, 336, 342, 375, 383, 391, 398	
Poezye.		
Do smutnej, Ludw. Meyeta przekład z franc.	98	
Dumka, p. Konrada	257	
Impromptu, p. Czesława	217	
Inde irae, (Wiktora Hugo)	185	
Kropelka rosy, p. K. L.	41	
Łzy skryte, p. El. Krasnohorską przekład J. Morawskiej	132	
Nocy bez gwiazd, z Petöfiego przekł. M. I.	125	
Ojciec do córki, W. Hugo przekł. M. I.	377	
Porankiem, przez M. I.	33	
Sen o Maju	369	
U grobu Chrystusowego, przez M. I.	105	
Uspokojenie, Wl. C.	241	
Wspomnienia	73	
W trumieneczkę Feli. Re...	29	
Wieczność miłości	337	
W dzień zaduszny, przez M. J.	345	
Z ksiąg prorockich I Modlitwa Ezdraszowa, przez Maryą Konopnicką	353, 408	
Z Musseta (le saule)	17	
Z Paillerona, p. Wiktora Gomulickiego	113	
Przegląd piśmienniczy.		
Kartka z dziejów XVI w., Odczyt B. Kalickiego, przez S. K.	104	
Książki dziecinne, przez M. I.	393, 402	
Łaski Olbracht wojewoda Sieradzki, przez Alex. Kraushara, rozebrał Wiktor Czajewski	37	
Na przelomie sztuki polskiej, przez F. K. Martynowskiego, ocenił S. K.	301, 309	
O Arystotelesie, odczyt Wojc. Dzieduszyckiego, przez S. K.	116	
O Krasieńskim, odczyt prof. Tarnowskiego, przez S. K.	85	
O mistycyzmie, odczyt p. Marrené, przez S. K.	140	
Pamiętnik fizyograficzny, ocenił Dr G. Fritsche	342, 350	
Szkice historyczne, przez S. Smolkę serya I, rozebrał S. Krzeziński	69, 76	
Przegląd teatralny przez Stanisława Krzezińskiego.		
Bibiński, komedia M. Gawalewicza	333	
Córka pana Fabrycyusza, dramat Wilbrandta	222	
Czyja wina? obrazek H. Sienkiewicza	204	
Dandin George, komedia Moliera	158	
Domino różowe, komedia panów Delacour i Hennequin	204	
Dwie miary, komedia Z. Mellerowej	158	
Dziwacy, komedia w 1 akcie Ludw. Świderskiego	204	
Honor domu, dramat Battu i Desvignes	84	
Jacús, komedia Ed. Lubowskiego	404	
Klaus Dr, komedia L'Arronge'a	84	
Marynarze, obraz sceniczny A. Theuriet	222	
Modrzejewska w rolach gościnnych (Dama treflowa, Frou-Frou, Julia Szekspira	45, 62	
Niby-mażeństwa, komedia Paillerona	84	
Nora, dramat Ybsena	84	
Na wsi, komedia L. Świderskiego	349, 356	
Nie irytuj się, przez Ż. Abe	333	
Odetta, komedia W. Sardou	293	
O własnej sile, komedia L. Świącickiego	204	
Piękna, dramat Okońskiego	349, 356	
Prelegent, komedia Kościelskiego	158	
Poświęcenia, komedia J. Narzymskiego	204	
Świat zabawy, Edw. Lubowskiego	404	
Świetne partye, komedia Sewera	404	
Wiara, miłość i nadzieja, obr. ludowy Staszczyka	293	
Winy wspólne, obraz dramat. J. K. Galsiewicza	254	
Wola ostatnia, komedia Alex. hr. Fredry	254	
Wujaszek Alfonsa, krotchwila St. Dobrzańskiego	222	
Z przeciwnych obozów, fraszka sceniczna St. R. Stanisławskiego	293	
Kronika bieżąca.		
Echa wiosenne (z muzyki), przez Jana Kleczyńskiego	174	
Ruch muzyczny, przez J. Kleczyńskiego	46, 171, 335	
Sittówna Marya, p. J. Kleczyńskiego	198	
Pogawędka 2, 49, 81, 145, 193, 241, 289, 329, 386		
Przegląd artystyczny, przez Bronisława Zawadzkiego	14, 22, 30, 196, 206, 214	
Korrespondencye.		
Listy z Zagranicy, J. I. Kraszewskiego 12, 52, 91, 150, 159, 164, 197, 205, 244, 260, 292, 357, 366, 381, 390		
Lwów 23, 31, 43, 54, 132, 141, 166, 175, 227, 237, 268, 277, 365, 374, 382, 406		
Paryż 5, 14, 29, 37, 68, 78, 101, 110, 126, 134, 220, 230, 263, 270, 278, 307, 316, 341, 350, 389, 396		
Poznań	2, 7, 93, 174, 276, 372	
Praga czeska	102, 109, 163, 251, 380	
Wiedeń 21, 75, 86, 125, 188, 198, 286, 359, 367		
Rozmaitości.		
Drobne listki 8, 15, 39, 55, 80, 95, 128, 143, 184, 199, 208, 319, 343, 351, 400		
Kronika bieżąca nauk przyrodniczych	373	
O przedłużeniu życia według Preyera z Jeny przez Ottmana	325, 333	
Róża, przez M. I.	202, 213, 219	
Suchoty i Cywilizacja, dwa odczyty Dr H. Dobrzyckiego, przez Dr G. Fritsche	109	
Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, (sprawozdanie za rok 1881)	133	
W książce i w życiu, przez M. I.	340	

209101957



cz 434

Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe
przez St. K.

Album Napoleona Ordy	Stronnica	400
Bibliografia Estreichera i jej uzupełnienia	16, 295	
Chopin Fryderyk, M. Karassowskiego	240;	
szczęśliwie biograficzny	52, 317	
Czasopisma nowe	16	
+ Darwin Karol	151	
+ Dutkiewicz Walenty	152	
Encyklopedia wychowawcza	95, 318,	
Gebethnera i Wolffa nakłady nowe	240	
„Gość“, kalendarz Promyka na r. 1882		
Gramatyka polska, krótka. W. Dawida	192	

Historia filozofii materialistycznej, Langego	95
Historia literatury powszechnej, Scherra	94
Kalendarz Wileński na r. 1882, Orzeszkowej	48
Katalog rękopisów Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego, Dra W. Wislockiego	15
Kochanowskiego Jana dzieł, wydawnictwo	317, 399
Kollataja Hugona serce w Wisniowej w Sandomierskiem	112
Konarskiego Stanisława serce, do Krakowa przewiezione	48, 63, 112
Konkurs na biografią Mickiewicza, 317; konkursu przy Akademii Umiejętności	317
Modlitewnik siostry Konstancyi z r. 1527	413

Polybiblion, czasopismo francuzkie	Stronnica	191
Przewodnik bibliograficzny, Dra Wislockiego		79
Reya Mikołaja Wizerunk		414
Siemieńskiego Lucyana Dzieła		
Słownik geograficzny polski		
Spiewnik dla ochronek, szkół ludowych i wydzielonych, Czubskiego		64
„Świat ilustrowany“, czasopismo wiedeńskie		79
Syberyi opis, przez Sienickiego w XVIII w. skreślony		64
„Witolda ostatnie lata“, Ant. Prohazki		240
+ Zieliński Gustaw		63
(o) Ziemi ciężarze i postaci, S. Kramsztyka		94

Dodatek powieściowy zawiera w sobie następujące utwory:

Aż do śmierci, romans historyczny przez Maur. Jokaya, przekład J. M. (początek arkusz 1 - 3).

Droga do serca, powieść przez Roberta Byra przekład z niemieckiego.

Matka utalentowana, Nowella przez Pawła Heysego przekład z niemieckiego.

Na Wybrzeżu, powieść przez G. Hermstein przekład z niemieckiego.

Stoczona walka, powieść przez autorkę „Panny rezolutnej“ przekład z angielskiego.

Wynaniec, powieść Erckmana Chatriana przekład z francuzkiego J. M.

Żelazo, powieść przez Putlitza przekład J. M.

B. Dodatek obejmujący wzory ubiorów i robót.

	Numer		Numer		Numer		Numer
Alfabet krzyżową robotą	44	Fartuszek batystowy	17	Kapy czwarta część	48	Kołnierzyk chusteczkowy z muslinu i hiszpańskiej koronki	38
Chusteczka z atlasu merveilleux i koronki	7	Fartuszek z koronki i wstążki	18	Kapturki dwa dla pań	3	Kołnierzyk pelerynkowy z batystu, koronki i wstążki	38
Chusteczka z hiszpańskiej koronki	10	Fartuszek płócienny do gospodarstwa	18	Kapturek koronkowy	51	Kołnierzyk z żabotem z jedwabnej gazy i koronki	44
Chusteczki od nosa z szlakiem haftowanym	12	Fartuszki dwa dla pań	30	Kapturek do teatru, złożony w koronkowy szalik	4	Kołnierzyk chusteczkowy z młynarskiej gazy i koronki	42
Chusteczka z matowego niebieskiego atlasu	44	Fartuszek z szyrtyngu	33	Karczka część do koszuli szydełkową robotą	32	Kołnierzyk z koronki i atlasowej wstążki	47
Czapeczka dla panów	17	Filcowy kapelusz dla dam	39	Karczek i rękawki koronkowe do koszuli	33	Kołnierzyk dwa dla pań	48
Czepeczki dwa dla pań	4	Fotel na biegunach haftowany	11	Kołnierzyki i żaboty	5	Kołnierzyk stojący z żabotem z aksamitu i koronki	50
Czepeczek z koronki i wstążki	5	Frendzle do serwet	34	„ dwa chusteczkowe	7	Kołnierzyk i mankiety z aksamitu, koronki i wstążki	50
„ z crêpe lise, koronki i wstążki	6	Grzebienie i spięcia do kapeluszy	37	„ dwa fabryczn. szlakiem i szydełkową robotą	11	Kołdra na kołyskę szydełkową robotą i haftem	13
Czepeczek z jedwabnej gazy, wstążki i koronki	6	Guziki do ozdoby sukien, okryć i t. p.	47	Kołnierzyki i mankiety koronkowe	13	Kołdra na kołyskę aplikacją Boobinet	21
Czepeczek z atlasu merveilleux, z koronki i wstążki	9	Haft do sukien	39	Kołnierzyki i mankiety	17	Kołyki dla lalki	50
Czepeczki	11, 20, 27	Kapelusz do teatru	3	Kołnierzyki	20	Kółko do semety	50
Czepeczki z surab, koronki i wstążki	13	„ dla pań i dzieci	10	Kołnierzyki chusteczkowe z koronki	24	Koniec do krawatki hiszpańskim haftem	29
Czepeczek węgierski	30	„ letnie bez szwu	13	Kołnierzyk chusteczkowy z żabotem	26	Koronki dwie do bielizny robotą szydełkową	7
Czepeczek z kwiatów i koronki	31	Kapelusze	14	Kołnierzyk z koronki	26	Koronki do bielizny tasiemeczką i szydełkową robotą	7
Czepeczek ranny fabrycznym szlakiem i szydełkową robotą	32	„ i parasolki	17	Kołnierzyk chusteczkowy z koronki i wstążki	29	Koronka do bielizny szydełkową robotą	7
Czepeczki dwa damskie	39	„ rozmaite	18	Kołnierzyk neglizowy drutową i szydełkową robotą	31	Koronka do bielizny fabrycznym szlakiem i szydełkową robotą	10
Czepeczek dla chłopczyków od 6 do 8 lat	45	„ letnie	22	Kołnierzyk z napiersznikiem z koronki	30	Koronki dwie szydełkową robotą	17
Czepeczek z jedwabnej gazy, koronki i wstążki	47	„ dla młodych pań	24	Kołnierzyk z żabotem i mankietai	31	Koronki dwie do bielizny minardissą i szydełkową robotą	51
Czepeczki dwa damskie	48	„ z atlasowej pleśni	29	Kołnierzyk z żabotem i mankietai	31	Koronka do bielizny torsadką i szydełkową robotą	18
Część szlaku na krzesło, dzierganem i łańcuszkowym ścięciem	3	Kapelusz z jedwabnej gazy	29	Kołnierzyk chusteczkowy z haftowanymi pasków	32	Koronka do bielizny minardissą i koronkowym ścięciem	30
Część kapy siatkową gipiurą	27	„ z angielskiej słomy	34	Kołnierzyk dziecinny fabrycznym szlakiem i szydełkową robotą	37	Koronka i wszywka medalionowym szlakiem i robotą szydełkową	32
Desen na krzesło, krzyżową robotą	3	„ z pleśni paillasson	34	Kołnierzyk i mankiety z batystu	38	Koronki dwie do bielizny minardissą, tasiemeczką w ząbki i robotą szydełkową	33
Desen na kape	3	Kapelusze, kołnierzyki i naszyjniki	34	Kołnierzyk i mankiety z batystu	39	Koronki dwie do bielizny szydełkową robotą	37
„ na haft do ubrań sznelą i perłami	6	Kapelusz aksamitny	40	Kołnierzyk i mankiety z batystu	38		
Desen przerywany na kape i ręczniki	15	Kapelusz filcowy	6	Kołnierzyk chusteczkowy z surah i koronki	38		
Desen przerywany na kape i ręczniki	20	Kapelusz do teatru	46				
Desenie krzyżową robotą	37	Kapelusze zimowe	46				
Dywanik krzyżową robotą	37	Kapa z gazowego płótna	15				
Ekran haftowany	51	Kapa na gazowym płótnie w-neckim haftem	15				
Fartuszki dwa dziecinne	10	Kapy część na siatkowym tle	33				

Numer		Numer		Numer		Numer	
Koronka do bielizny minardisą i szydełkową robotą	39	Serwety czwarta część	16	Szlafrok dla panów	17	Szlaki dwa do sukien damskich	47
Koronki dwie do bielizny minardisą i szydełkową robotą	39	Serweta na stolik do zycia	25	Szlaczki dwa do ubrań dziec. bapyst. tasiemką i robotą szyd.	49	Szpilka do włosów i notes w guście rococo	6
Kapa (część) siatkową gipiurą	27	Serweta na stół	27	Szlak białym haftem do kościelnych przedmiotów	4	Trzewiczek dziecienny drutową robotą	21
Krzesła dwa ogrodowe	26	Serweta	38	Szlak na kołdry weneć. haftem	4	Tualety dwie balowe z jedwabnej gazy i atlasu	4
Koszyczek	3	Serweta przed okno tunetańskim pletniowym ścięciem i wiązaną robotą	40	Szlak białym haftem do różnych przedmiotów	5	Tualeta balowa z gros-grain i adamaszku	6
Koszyczek do roboty	3	Serweta szydełkową robotą i koronkowym haftem	45	Szlak do kołdeł weneć. haftem	5	Tualeta balowa z gazy gładkiej i w pasy	6
Koszula damska	33	Serweta	46	Szlak na kapy, poduszki i t. p. haftem złotym	6	Tualeta balowa z atl. i tarlat.	7
Kwadrat na kapy siatk. gipiurą	49	Sortie-de-bal z pluszu ozdobionego haftem	7	Szlak do sukien	7	Tualeta wieczorowa	34
Kwadrat, wszywka i koronka siatkową gipiurą	5	Sposoby czesania wraz z ubraniem	4	Szlak do sukien sznureczkowym, kordonkowym płaskim haftem	7	Tualeta wiecz. dla młod. panien	50
Kwadrat do zeszywania na kołdry szydełkową robotą	40	Spódnica i fartuszek	11	Szlaki do sukien i chustek	10	Ubranie dla pań 3, 7, 10, 12	
Kwiaty do balowych tualet	51	Spódniczka dla dzieci na rękę	21	Szlak białym haftem	10	Ubranie dla pań do konnej jazdy	14
Lok z włosów do przypinania	5	Spódnica	33	Szlak siatkową gipiurą	11	Ubranie dla pań i dzieci 16, 17, 20, 22, 26, 27, 30, 32, 37, 39, 42, 44, 48	
Lusterko na tualetę	21	Spódnica fularowa	39	Szlak do bielizny haf. pointlace	11	Ubrania ślubne i dzieciinne	10
Łóżeczko dzieciinne	21	Spódnica szydełkową robotą	46	Szlak tasiem. i szydełk. robotą	12	Ubranie kąpielowe dla pań i dzieci	24
Majtki do konnej jazdy dla pań	24	Spódnica szydełkową robotą	47	Szlaki przewlekaniem na tiulu	12	Ubranie do konnej jazdy	24
Mankiety dwa fabrycznym szlakiem i robotą szydełkową	10	Stołeczek haftowany	20	Szlaki ścięciem Holbeina	12	Ubrania dzieciinne 27, 42	
Mankiety fabrycznym szlakiem i szydełkową robotą	26	Stanik z kamizelką	38	Szlak na kretonie ścięciem pocztowym	14	Ubranie wieczorowe dla pań 42, 44, 46	
Mantylka z crêpe de chine i koronki	27	Stanik do sukien ze szkockiej wełny i sukna	44	Szlak na ręcznik siatkową gipiurą i podw. płask. ścięciem	49	Uczesanie balowe dla młodych panien	5
Mufka balowa z kwiatowem przybraniem	6	Stanik z chusteczkowym kołnierzykiem i mankietami	48	Szlak do ubrań dzieciennych	16	Uczesanie włosów przybierane kwiatami	5
Mufka z pluszu, wstąż. i koron.	50	Suknie wieczorowe dla pań	7	Szlaki pasmanteryjne	16	Uczesanie głowy w kształcie korony	5
Mufka ze szneli kor. i kwiatów	50	Suknie dwie dla pań 7, 20, 22, 24, 27, 37, 39, 46, 48		Szlak do ubrań białym haftem	17	Uczesanie włosów 49, 50	
Narożniki dwa szydeł. robotą	48	Suknia z atlasu, kaszmiru przybrana złotą skorką	9	Szlak do sukien od nosa haftem point-lace	22	Wachlarz ozdobiony point-lace i białym haftem	4, 5
Okrycia z aksamitnej gazy	24	Sukienka dla panienki od 13 do 15 lat	9	Szlak do sukien damskich	23	Wachlarze	49
Paltot dla pań	17	Sukienka dla dziewczynki od 7 do 9 lat	9	Szlak do chustek od nosa siatkową gipiurą	29	Wachlarz pluszowy i rococo	6
Pasek jedwabny	6	Sukienka dla panienki od 8 do 10 lat	9	Szlak na atlasie płaskim i poczt. ścięciem na kapy i poduszki	30	Wachlarze i paski do nich	38
Pasek metalowy	23	Suknie wieczorowe dla pań	10	Szlak na serwety ścięciem Holbeina przerywanym deseniem płaskim i krzyżowym haftem	30	Wachlarze, naszyjniki i branzoletki	45
Parawanik chińskim haftem	25	" dla pań 11, 12		Szlak haftem renaissance	31	Wałek do oparcia głowy	22
Płaszczek dla pań 11, 12, 14		" i krawatki dla pań	14	Szlak do kościelnych ubiorów szytą gipiurą	31	Woreczek zwany „redicule“	6
Płaszczek dla dziewczynki od lat 4 do 6	15	Suknia z wełnianego materiału ozdobna haftem	15	Szlaki dwa do bielizny białym haftem	32	Woreczek zwany „pompadour“	12
Płaszczek dla pań	16	Suknia dla dziewczynki od lat 4 do 6	15	Szlak do ozdoby sukien damskich	33	Wszywka tasiemczką i robotą szydełkową	5
Płaszczek dla panienek od 6 do 8 lat	34	Suknia z grenadyny i faille, płaszczek z atlasu merveilleux	15	Szlak na krzesła	34	Wszywki do bielizny szydełkową robotą	11
Podkładka tiulowa do przypinania włosów	50	Suknia z krepki „Virgine“	15	Szlak (część) na krzesło dziergany i łańcuszkow. ścięciem	3	Wszywki do bielizny robotą szydełkową	31
Podstawka pod lampę	16	Suknia z grenadyny i faille, płaszczek z atlasu merveilleux	15	Szlak do ozdoby sukien damskich	37	Wzór na haft	20
Poduszka na tualetę	3	Suknia z krepki „Virgine“	15	Szlak do ozdoby sukien	37	Wzór na pantofle	20
Poduszka na kanapę	4	Suknia z gładkiego i w krawaty materiału	17	Szlak do ozdoby sukien	37	Wzory chińskie na parawaniki lub t. p.	23
Poduszka na kanapę haftem Janina	18	Suknia z mory, haitienne	18	Szlak do ozdoby sukien	37	Wzór na lambrehin płas. haftem	29
Poduszka i kaftanik dla dzieci na rękę	21	Suknie dla pań	22	Szlak do ozdoby sukien	37	Wzór chińskim haftem	38
Poduszka na kanapę ozdobiona hiszpańskim haftem	29	Suknia muślinowa	23	Szlak do ozdoby sukien	37	Wzór i szlak na kapy siatkową gipiurą	40
Poduszka do śpilek	50	Suknia z kaszmiru i atlasu	29	Szlak do ozdoby sukien	37	Żaboty dwa z surah i koronki	3
Połowa kwadratu, koronka, wszywka siatkową gipiurą	4	Suknia w wirgini i fularu	29	Szlak do ozdoby sukien	37	Żaboty dwa dla pań	7
Przybranie trenu z kwiatów i mchu	6	Suknia z wełny aksam. w rzucik	34	Szlak do ozdoby sukien	37	Żabot z crepe-lisé i koronki	7
Przybranie z kwiatów do stan.	6	Sukienka dla dziewczynki od 7 do 9 lat	34	Szlak do ozdoby sukien	37	" z gazy i morowy deseń	7
Przybranie do zim. kapeluszy	42	Sukienka kaszmirowa	34	Szlak do ozdoby sukien	37	" z jedwabnej gazy i koronki	9
Rękawiczka, kolia i bucik	7	Sukienka z materyi i kaszmiru	34	Szlak do ozdoby sukien	37	" z atlasu merreilleux	9
Rozeta szydełkową robotą	14	Suknia dla dziewcz. od 2 do 3 lat	34	Szlak do ozdoby sukien	37	" z gazy	47
Serweta haftowana	51	Suknie dzieciinne	39	Szlak do ozdoby sukien	37	" z koronki i atlas. wstążki	47
Serweta na meble	5	Szalik z atlasu i koronki	7	Szlak do bielizny webowym ścięciem	45	Zarzutka torsadkową i szydełkową robotą	32
Serweta krzyżową robotą	7	Szalik z atlasu, merveilleux i koronki	7	Szlak do przyb. sukien damskich	45	Znak do bielizny 4, 7	
Serweta na stół krzyżowym i ażurowym haftem	7	Szalik, kryzy i klamerki	12	Szlak do przybrania kominków	51	Znaki dwa do bielizny 10, 11, 14, 16, 27, 46	
Serweta szydełkową robotą	14	Szaliki dwa dla pań	14	Szlaki dwa pasmanteryjne do ozdoby sukien	47		
		Szlafroczek z wirginiu i atlasu merveilleux	9				

C. Sekreta domowe i gospodarskie.

Numer		Numer		Numer		Numer	
Ananas w najaromatyczniejszy sposób urządzony	36	Kapusta włoska au naturel	42	Pampuszki ukraińskie	43	Smarzenie konfitur w ogóle, o truskawach w szczególności	29
Bażanty	49	Kartofle smarzone w całości	50	Pieczon wołowa duszona w piecu	23	Sposób użycia piany do legumin lub marengów	43
Bliny najłatwiejsze	13	Kasza angielska na zimno	36	Pomidory w butelkach	33	Tort angielski	19
Bryndza stara za cztery tygodnie	43	Kawior prawdziwy	19	Pomadka owocowa do ust	43	Tort piaskowy	35
Doświadczenia gospodarskie 23, 26, 27, 30, 33, 40, 43, 50		Kluski parzone zapiekane z serem szwajcarskim lub włoskim parmezanem	8	Rosół po orleańsku	19	Trufle w konserwie	36
Forszmak, potrawa litewska	36	Likier „benedyktynka“	25	Sandacz, szczupak lub jesiotr z sardelowym sosem	14	Wino z pomarańcz	13
Grzanecki do zup	49	Majonez układany na półmisku	43	Sandacz z pieca z rakowem masłem	25	Wino z owoców	39
Grzanki z syropem ananasowym lub malinowym	43	Mycie butelek	41	Ser gambrinus podany po wiedeńsku	39	Woda wzmacniająca włosy i przeskadzająca ich wypadaniu	43
Jabłka smarzone na drożdżach	6	Miód bernardyński na drożdżach	19	Śledzie marynowane po hambursku	49	Zupa „purée“ z drobiu	33
Jak się piecze i jak się podaje cąber sarni	8	Ogórki kwaszone w beczce otwartej	33	Sos rakowy	19	Zające marynowane	41
		Pączki parzone	6				



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

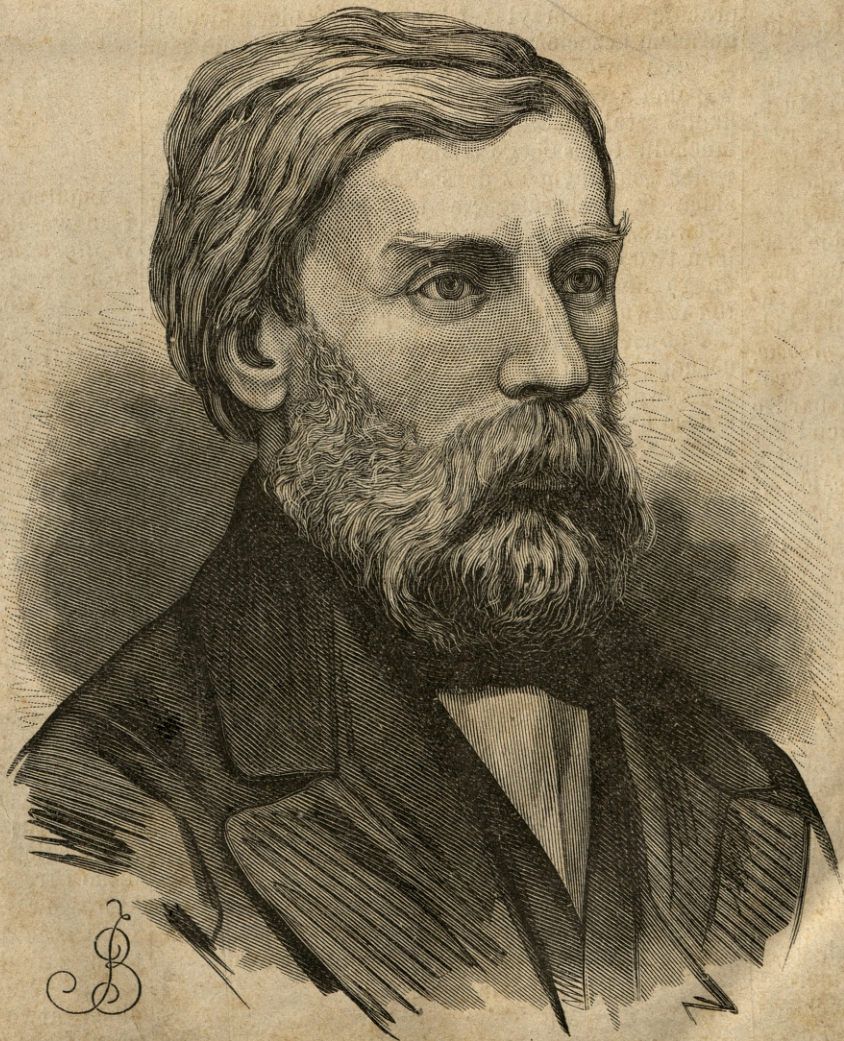
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spółt., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

DO SERC LUDZKICH.

Bolesna katastrofa w kościele Ś-go Krzyża i następne wypadki na ulicach Warszawy—stały się powodem wielkiego publicznego nieszczęścia. Nędza dotknęła nagle 2,800 rodzin: tysiące ust głodnych potrzebują chleba, tysiące starców, dzieci, kobiet słabych nie mają na co skłonić głowy zmęczonej. Serca ludzkie powinny też zadrzeć uczuciem litości, rozum społeczny powinien nas wzywać do możliwego zarównania śladów rzeczy okrutnej — która odstać się nie może, ale może w znacznej części być naprawioną.

Jest solidarność wiążąca bez wyjątku wszystkich: co się stanie w łonie ogółu jakiegos, należy do całości tego ogółu, w swoich złych czy dobrych skutkach. Powszechność każda dzieli się między sobą tak chwałą, jak nieszczęściem; my w tej chwili dzielić się musimy odpowiedzialnością za rzecz bezprzykładną w przeszłości naszej.

Obywatelskim obowiązkiem każdego jest dziś dać, gdzie należy, słowo oświecające, przemawiające do serc i sumień ludzkich, i według możliwości grosz jakiś na



Adam Asnyk.

wspomożenie nędzy, której się to od nas należy.

Marya Ilnicka.

Redakcja *Bluszcza* przyjmuje wszelkie ofiary na nieszczęśliwych.

ADAM ASNYK

I POEZYJE JEGO.

Poeta, którego szlachetna i myśląca głowa wyziera ku nam, jest najmłodszym w szeregu tych śpiewaków, którym nieśmiertelność zostaje w narodzie naszym zapewnioną. Pieśń jego ozwała się wśród atmosfery rozpościerającego się nagle chłodu i odskoku wyobrażeń, w chwili głuszy ciężkiej na tem polu, a raczej na tej wyżynie Helikońskiej, zkad powinny spływać dla ludzkości nigdy nieprzebrzmiałe hasła wiary, miłości i nadziei — hasła natchnień, wzywających do życia i pracy na zarobek niepowszedniego chleba jedynie. Moment to był czasu dziwnie smutny i trudny do zniesienia: ogół cierpiał i tęsknił za tą pociechą, której mu brakło, za tym duchem podniesienia, który nie przybywał za komuniją

serc, jaką daje poezya, niosąca niby kielich Taborytów, przeznaczony dla spragnionych ust wszystkich. I Asnyk doświadczał tego wraz z innymi: odczuwał ciężki stan nastroju ogólnego. Sam wyznaje:

I to zamarłej pustyni milczenie
Zdało się łamać we mnie życia prawa;
Byłem jak ciemność, rzucony w przestrzenie,
I nie wiedziałem, czy to sen, czy jawa?
O bycie własnym wątpię znicestwiony....

Były to przecież lata pełnego już rozkwitu jego młodości. Oile wiem, wszyscy poeci, nie z takim nawet jak on tchnieniem poezji w piersiach, rwał się już w tym wieku, aby tworzyć, a on milczał przecież, co stanowi zjawisko psychologiczne, świadczące w sposób bardzo ważny, jakim jest duch natchnień jego. Napisał:

Myslałem, że mnie ból pokona,
I że w tę straszną posępność wsiąknięty,
Utone głucho....

Ale „miłość ma swoją słoneczną legendę, co wspomnień zerwać nie daje łańcucha“. Czuwa ona zawsze czułością niezmienną w sercach, które kochają i mówi im „przybędę...“ Asnyk pierwszy tom poezji, wydanych, jak i wszystkie następne, pod pseudonimem *El-y*, poświęca „Rodzicom swoim“, ale rzeczywiście należą one do całego kręgu jego rodzinnych ukochań, tęsknot i wspomnień jego młodych, do wszystkiego zostawionego już z laty poza sobą, a oglądanego w zwierciadle wizji razem miłosnych i poetycznych:

Gaje i chaty! jasne zdrojowiska!
Zielone łąki, wysmukłe topole.
I na rozstajnych drogach wśród urwiska
Omszone krzyże w cierniach! Was, pachole,
Widziałem w tęczy migającej rąbku,
A dziś was widzę strojne w aureole....

Temu wszystkiemu: lilii czystych krynic, wioskom rozstawionym nad cichymi wodami, kołysce, marzeń dzieciennych „rzuca pod stopy serce własne“ i oto jest ta, Danteskiej pani podobna Muza, która go wywodzi z głuchego pogrzebienia, rozwiązuje usta milczące i daje nam poetę wysokiego lirycznego nastroju. Asnyk napisał kilka dramatów: *Cola Rienzi*, *Kiejstut*, *Żyd*, ale niemniej jest on głównie lirykiem i, jako taki, podbił sobie serca ludzkie, jako taki zajął pierwszorzędne stanowisko w literaturze naszej, gdzie stanowi zupełnie oryginalną osobistość poetyczną. Jakkolwiek na pierwszych jego utworach: *Sen grobów*, *Apostrofa*, czuć w formie a nawet w pewnym zwrocie myśli Słowackiego, uwalnia się z tego bardzo prędko i staje się sobą. Gdyby kto chciał koniecznie szukać mu pokrewnego w poezji ducha, to znalazłby go chyba w Schiller'ze. Taka sama siła tkliwego uczucia, taka obok tego głębokość myśli filozoficznej, choć dla mnie nikt nigdy nie dorównał liryce Asnyka w słodczy wyrazu, w jego wdzięku nieujęty i określić się nie dającym. Cudowna muzykalność jego wiersza stanowi tu przecież jedną tylko, pomniejszą część tego czaru, tego uroku, który wywiera, lecz którego rdzeń kryje się głębiej i artystyczna doskonałość formy jest mu tylko szatą zewnętrzną. Zostaje ona niemniej w związku bardzo ścisłym, w związku nie rozzerwanym z duchem tu rządzącym: niezmierna delikatność a razem szlachetność uczucia poety, wymagała właściwego języka, przecież wrażenie, które odbieramy przy czytaniu Asnyka, jest razem natury intelektualnej: jest rozkoszą powstałą ztąd, że znajdujemy w poezjach jego to, co można nazwać kwiatem naszych własnych serc. To, co jest w nas uczuciem niewyraźnym, nierozwikłanym, w stanie aspiracji, tęsknoty, cichego westchnienia złożonym, on nam stawia przed oczyma wyniesione już na jasność wysokiego, pięknego ideału, ujęte w wyraz pełen harmonii i tej prostoty

ty spokojnej, która przy takim artyzmie, przy takiej skończoności okrągłości wiersza, jest może najszlachetniejszym a bardzo rzadkim przymiotem poety.

A nigdzie retoryki: czasem jakiś akkompaniament muzyczny, ton śpiewny, który się przedłuża w zwrotce, wibrując, [ale zdaje się to z naturą jego poezji być złączonym i stanowiącym jej koloryt, oryginalny i jemu tylko właściwy. Obok tego w każdej drobnostce kilkunastokrotowej, w takim wierszyku naprzykład jak: *Szkoda, Siedzi płaszek na drzewie, Słonko*, nietylko się czuje żywe serce człowieka, współczującego z ludzkością całą, ale odbicie promienia reflexy myślącej i wysoko rozumnej, nie wróconej przecież, jak najczęściej, u liryków w głąb własną, wewnątrz siebie, ale patrzającej w serca bliźnie: w duszę narodową. Rzadko poeta czysto liryczny tak głęboko wpatrywał się w społeczeństwo. Że przytem serce jego nie jest samolubne, że malując nam najdroższe uczucia swej duszy, łączy się z całym czującym ogółem, zadzierżguje się więc między nim a publicznością czytającą interes potężny, budzi się uniłowanie tkliwe, jakgdyby przywiązania rodzinnego. Dusze ludzkie mówią poecie: —Bracie! bo bardzo niewiele pomiędzy tem, co napisał, jest czysto egotycznej natury. Nawet ściśle osobiste jego uczucia, stosunki, wrażenia, rozgrywają się na podstawie uczuć, stosunków, wrażeń powszechności jego i dlatego odczuwa się to i wierzy następnie temu głęboko smutnemu głosowi jego duszy, który odzywa się w *Usprowadliwieniu*:

Wszystkie ludzkie nędze i rozpacz
W sercu mojem pomieszczone mam;
Gdy nad szczęściem utraconem płaczę,
To nad czym? —nie wiem dobrze sam....

Jednym z najwybitniejszych rysów w charakterystyce moralnej Asnyka jest smutek, melancholia głęboka i przebijająca z nim zawsze i wszędzie. Nie jest to przecież czarna rozpacz Alfreda de Musset. Ten, odarty z wiary, ze zdolności do uczuć uszczęśliwiających, rzucał jęki i skargi w twarz społeczeństwa, któremu nigdy nie dał myśli dlań pracującej, nie przyłożył do jego łona piersi swojej, gorącym uczuciem bijącej —nosił się wiecznie sam w sercu swoim. Asnyka smętność jest inna i wspólna z wielu duchami pokrewnymi mu w dziedzinie sztuki naszej: Szopen i Grotger mają melancholię tegosamego rodzaju. Słowacki jest również „smutnym aż do śmierci“, ale zachodzi różnica w temperamentie tego smutku. Asnyk i w twórczości swojej poetycznej ma wielkie podobieństwo duchowe z Szopenem i Grotgerem. Z jednego muzyki, z ołówka drugiego wieje tensam ton rzewny, tkliwie żalony —przez melancholię, że tak powiem, rodzimą, z jednakowego pierwiastku uczucia powstała. Musset, zmarnowawszy duszę swoją, umierał na to: umierał na bezduszną i wołał rozpaczliwie: „L'infini me tourmentel“ ale tak u tamtych dwóch, jak i u Asnyka, jest to uczucie zupełnie inne; nie są to bez celu rozprószone, zgubione w przestrzeni atomy ludzkości, na których wielkość świata cięży i przygniata je; oni przeciwnie świat swój noszą cały w piersiach i boleją wszystkimi cierpieniami, żalami, goryczami jego. Mogą mieć chwilę rozpacznych poływów, gdy widzą „kłęski duchów i ciał“ i wtedy wybiega z pod pióra poety takie: *Nokturno, Pijąc Falerno*, ale to są tylko ogniste błyskawice, rozdzierające naraz duszę. Po takich chwilach, woła Asnyk do anioła swego:

„O mój aniele ty rękę
Daj!
Przez ły i mękę,
Przez ciemny kraj,
Do jasnych źródeł ty mnie doprowadź:
Racz się zlitować,...

Lękam się zstąpić z zwątpieniem
W grób.

Więc z utęsknieniem
Do twoich stóp,
Chylę się z prośbą i nieprzytomnie
Wołam: zstąp do mnie!“

Błaga anioła tego o „tryumf miłości. kupiony w łzach“ i odnosi go, bo *Prośba* kończy się w najszlachetniejszy, najwznioślejszy sposób:

„Dbać już nie będę o szczęście własne!
Spokojny zasnę...“

Nigdy tkliwszy, piękniejszy, szlachetniejszy głos nie wybiegł z piersi smutkiem ucisnionej i Asnyk też, jak owa sierota odwiedzana przez Boga (*Pan Jezus chodzi po świecie*) „w swych piersiach dziedzietwo miłości, pełne niebiańskiej pociechy“. Ztąd też staje się on z wolna w smętności swej coraz spokojniejszym, łagodniejszym, dostojniejszym. Tkwi ona w gruncie jego każdej wyższej kreacji, ale posiada wyżej wymienione przymioty i tę niewymowną słodycz: litosną i miłosną tkliwość dla społeczeństwa swego, która też tak bardzo serca ludzkie chwytą i jednoczy mu. Nikt, nietylko w naszej literaturze, nie wyraził wyżej od Asnyka czułości swej dla ludzi i przywiązania do tego, co ukochał. Wyraz tej tkliwości jest mu u nas wspólny jedynie ze Słowackim w jego niektórych poezjach lirycznych: w *Hymnie o zachodzie słońca*, w *Siedmiu błogostawieństwach*, które śle: chłopkom, ludziom i tżodom cichym, ptakom wędrownym, w ustępach jego rapsodów jak: „Boleścią moją powietrze zakłęte“ lub: „Dawna kochanka moja, o jak trudno zakochanemu...“ Prawda uczucia Asnyka sprawia to, że smętność jego nie kołysze na jakąś niemoc senną, jak się to dzieje u Lamartine'a naprzykład, w jego *Medytacyach*, ale wstępuje w serca i przenika je uczuciem żywotnym, bo ciepłym i szczerem.

Taka jest ogólna charakterystyka poety, jego fiziognomia moralna i artystyczna, której szczególności domagają się rozpatrzenia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POGA WĘDKA.

Smutno skończył się rok stary w Warszawie i niewesoło też rozpocząć się musi rok nowy w *Bluszczu*. Przedewszystkiem należałoby powinszować wielu warszawskim naszym czytelnikom, że Roku Nowego dożyli, albo, że bez żaloby rozstali się z nieboszczykiem 1881-szym, który z mógł usypał sobie pomnik i wśród płaczu i jęków zeszedł z widowni, herostatową pozyskawszy sławę.

Ostatnie święta długo pamiętne będą Warszawie, bo dwojakim nieszczęściem zapisały się w kronice naszego miasta: jedno wywołał przypadek, drugie obłąd i zła wola; po pierwszym przybyło kilkadziesiąt grobów na ementarzu, po drugim wiele łez i wstydu, i ruiny ludzkiego mienia.

Katastrofa w Kościele Świętokrzyżkim trupami zasała stopnie kamienne wiodące do świątyni Pańskiej; katastrofa na ulicach Warszawy zakrwawiła serca wszystkich prawych i uczciwych obywateli, dla których honor i dobro kraju były świętym i upragnionym celem.

Nie chcemy przypominać szczegółów nieszczęścia. Poruszyło ono, nietylko całą Warszawę, ale najodleglejsze zakątki kraju; pisma codzienne zdały jasno i treściwie sprawę z przebiegu katastrofy, która powstała Bóg wie z jakiej przyczyny.

Ni ztąd, ni zowąd fałszywa pogłoska poruszyła tłum, zatopiony w modlitwie podczas nabożeństwa. Wieść o mniemanym pożarze sprawiła popłoch łatwo wytłómaczony wrażeniem, jakie ostatnia kłeska spalania się teatru w Wiedniu i u nas wywarła.

Instyngt zachowawczy, obawa takiego samego

jak tam losu, pchnęły setki ludzi ku drzwiom kościoła i sprawiły zamęt, którego ofiarą padło dwadzieścia dziewięć osób zaduszonych lub straconych w ścisłu na śmierć, a drugie tyle poginionych i pokaleczonych niebezpiecznie.

Kogo tu winić, kogo uczynić odpowiedzialnym? czy tych nierozważnych biedaków, którzy pierwszy rzucili się do ucieczki i chęć ocalenia życia przypłacili właśnie życiem? czy owych niewiadomych, a może nawet niewinnych, sprawców fałszywego alarmu, którym się przesłyszało coś o pożarze, a który przez nieporozumienie siebie i drugich pociągnęli do zguby? — czy wreszcie, a zapewne najwłaściwiej — słabą i płochliwą naturę ludzką, rozbudzoną wyobraźnią i brak przytomności w chwili zaniepokojenia?...

Jeżeliby z nieszczęścia praktyczne należało wyciągać wnioski, to przedewszystkiem trzeba dla bezpieczeństwa publicznego przedsięwziąć środki unikania zbyt ścisłych w miejscach zamkniętych, wielkiego przepełnienia kościołów, teatrów, sal koncertowych i t. p.

Warszawa, rozrastająca się z każdym rokiem, w pewnym względzie poprzestawać musi ciągle jeszcze na tem, co jej przed pół wiekiem zaledwie wystarczało; kiedy n. p. miasto liczyło połowę dzisiejszej ludności, miało tyleż świątyń, ile ich ma dziś, gdy się ludność podwoiła.

Nie od wczoraj mówi się o tem, że kościołów u nas zamało, a te, które istnieją, są zaciasne. Wiernych przybywa, a modlić się niema gdzie; dość popatrzyć w niedziele i święta, w ludniejszych zwłaszcza parafiach, na tłumy zalegające z konieczności chodniki i place przed świątyniami Bożemi.

Jużto jakaś fatalność uszczupla nam miejsca w kościołach i szkołach; jednych i drugich brak, a jednych i drugich doczekać się niepodobna.

Jeżeli jednak Bóg wszędzie przytomny, na każdym miejscu wysłucha gorącej modlitwy, jeżeli religia w najskrytszym kąciku rozjaśnić może serca i sumienia; z nauką, z tem światłem duchów, owiele trudniej. Jej potrzeba koniecznie widomego, osobnego i przystępnego ołtarza, jakim jest tylko szkoła, to jasne ognisko, które ma wielkie i wzniosłe zadanie rozświecać umysły i umoralniać przez oświatę.

Tylko ciemnota, tylko niedojrzałość umysłowa mogły się zdobyć na sceny, jakich widownią były przez trzy dni świąteczne ulice Warszawy.

Tłum, złożony z niedorostków, terminatorów, próżniaków, a w znacznej części rzeźmisków, szukających łatwego zarobku, pod pozorem zemsty za czyn nieznanego sprawcy nieszczęścia w kościele katolickim, rzucił się na niewinną ludność starozakonną i uczynił ją odpowiedzialną za katastrofę.

Oto, jak trafnie i rozumnie wyraziła się o oplakanych zająciach *Gazeta Warszawska*: „Ludzie najbiedniejsi, upojeni niepojętym szałem, targali się na odrobiny mienia biedaków. Rozbijano drzwi i okna w sklepikach, rozbijano warsztaciki biednych zegarmistrzów i szmuklerzy, ażeby ich ogłodzić z jednych środków do życia

„Wylew namiętności tłumy — to bezrozumny wylew rzeki, unoszący chałupę niedzrza. Czy też te ojce głodnej rodziny, czy te wyrostki, w twardej znoju syllabizujące abecadło rzemiosła, czy te kobiety, podające wyschlą pierś dziecku, — pomysłowały, rzucając się na niszczenie, że pomnażają niedolę równych sobie w trudzie i niedostatku? że biednym pacholetem i niemowlętom od ust odrywają ostatni kęs chudej strawy?

„Niema boleści większej nad widok dobrowolnego poniżenia tych, których się miłowało. Garść ludu warszawskiego sprawiła nam tę boleść niewymowną. Zwierzę bezduszne, pies potężny wzrostem i siłą, staje zawstydzony przed zwierzęciem, które, upadłszy przed nim na ziemię, broni się tylko skomleniem. A motłoch napadał bezbronnych!

„Powiadają, że sprawcami nieszczęścia na krzyżankach kościoła Ś-go Krzyża mieli być złodzieje, w których poznano starozakonnych; że wyuzdane napaści uliczne na mieszkania Izraelitów miały być odpłatą za nieszczęście. Błąd to, albo zła wiara, niczem nie usprawiedliwiona. Złodzieje, ściągający rękę do cudzej kieszeni, dla odwrócenia uwagi krzyczący: „gore!“ — nie należą do żadnego wyznania religijnego. Z kopuły Ś-go Pio-

tra w Rzymie i z gruzów świątyni na Syonie brzmią tesame wyrazy: „Nie kradnij!...“

Pełne to wysokiej tolerancji i sprawiedliwości słowa; ale tłum ciemny, podrażniony podszeptem jakiegoś niegodnego języka, nie potrafi tak rozumować.

Podobnie, jak popłoch był zaraźliwym, tak i zły przykład porwał tłum z jednego nieszczęścia w drugie, bo nieszczęściem, i to wielkiem, nazwać trzeba to chwilowe rozpasanie się tłumy, państwa się z jakąś dziką fantazją na bezbronnych i niewinnych.

Nie chcemy i nie śmiemy przypuszczać, aby świąteczne rozruchy u nas miały grunt i charakter socjalistyczny; aby te sromotne objawy były tylko długo tajonym wybuchem namiętności rozpasanych, dążących do zakłócenia równowagi społecznej.

Zawiedliśmy się tylko na jednym: na równowadze moralnej ludu, którą uważaliśmy w całej jego masie za dojrzałą, poważniejszą i lepszym instynktem obdarzoną. Pokazało się, iż praca dotychczasowa około uszlachetnienia i ukształcenia pewnych warstw społecznych u nas, nie była dostateczną; że większej jeszcze ostrożności i opieki potrzebują ci małoletni, niezdolni o własnych siłach powstrzymać się w danych chwilach na pochylonych manowcach.

Jedynym zakłębieniem burzy, którą złośliwa przyszłość ściągnęłaby na nas mogła, jest — oświata; dopóki jej pochodnia nie rozświeci mroków w szero- kich nizinach naszego społeczeństwa, póty narażeni będziemy na ciągłe potykanie się po drodze postępu i rozwoju.

Inne społeczeństwa naksztalt owoców Morza Martwego mają pozory zdrowia i świeżości zewnątrz, a popiół i zgniliznę kryją w sobie; u nas jeszcze do tego nie doszło, u nas nawet przeciwnie: społeczeństwo nieraz przypomina surową rudę, którą zzewnątrz tu i owdzie śnież pokręwa, ale pod śnieżką kruszec się chowa.

Rdza wszelako dogryźć się może i do wnętrza, jeżeli się jej nie usunie, nie spoleruje, nie oddzieli zawczasu....

Rdzy tej obawiamy się i nie lekceważmy jej.

Wielce pocieszającym faktem w chwili ogólnego strapienia było odezwanie się szlachetnych obywatelskich uczuć w inteligentnej większości naszego miasta.

Ze skwapliwością matki, opatrującej rany i ocierającej łzy swojego dziecka, któremu złośliwy brat krzywdę wyrządził, zabrała się odrazu szlachetna Warszawa do naprawienia skutków podwójnej katastrofy.

Najwymowniejszym protestem przeciw nadużyciom zgrai, naruszającej spokój i mienie starozakonnych współobywateli, było utworzenie się komitetu pomocy dla poszkodowanej ludności i hojne, a obficie płynące, składki z wyraźnym przeznaczeniem na zatarcie śladów, jakie tłuszcza ciemna na ulicach Warszawy po sobie zostawiła.

Znowu tasama ręka, która z braterskim uściskiem wyciągała się tylekroć do masy oddzielonej w naszym społeczeństwie, aby ją nagiąć i zbliżyć do większości, teraz, w chwili ciężkiej niedoli, niesie pomoc, uścisk pociechy i pojednania.

Chodzi obecnie o rozwiązanie kwestyi wiecznej, chodzi o byt i przyszłość tysięcy, o wielki i szlachetny cel społecznego zjednoczenia we wspólnym interesie i na wspólny pożytek.

Niechaj po każdej stronie staje zastęp obywatelskim duchem ożywionych i do poświęceń gotowych pracowników, niech tu i tam zarówno coraz liczniej zapalają się kagańce oświaty, niech coraz wyżej wznoszą się tamy dla namiętności i uprzedzeń: a nie będziemy potrzebowali alarmować ogółu anti-semickimi, a u nas anti-społecznymi, wrzawami, szerzącymi popłoch i mącącymi zdrowie i prawdziwe hasła postępu.

Nielatwo nam, mniej znającym warunki oddziaływania na proletaryat starozakonny, i jako bardziej oddalonym, podawać środki i sposoby zaradzenia złemu: zostawmy to kompetentniejszym i zdolniejszym pracownikom na niwie społecznej; ale sami nie zasypiamy własnej sprawy i obowiązków. Przygotowujmy dalej, pomimo chwilo-

wych przeszkód, grunt i drogi, po których poprowadzić trzeba do celu; oświecajmy, przekonywajmy do zgody i braterstwa, łagodźmy rozdrażnionych i karęmy, gdy trzeba, upartych, ale nie zakładajmy rąk bezczynnie.

W organizmie społecznym wszystko łączy się z sobą, jak w zegarku; jedno kółko zahacza o drugie, jedno drugie popycha, lub wstrzymuje. Cała sztuka złożyć tak mechanizm i poruszać jego sprężyny, aby równomiernie działały wszystkie dzwignie i wszystkie łączone siły.

Prawda, że społeczeństwo ludzkie nie może być takim idealnym zegarem, któryby szedł z regularnością niezmienną i wskazywał bezustanny ruch, niezamącony niczem; ale staraniem naszym powinno być to, aby wszystkie kółka społeczne układały się do ogólnego prawa i według swego przeznaczenia działały około swojej osi.

Inaczej zegar stanie, a wskazówki jego oznaczać będą tylko coraz-to nową godzinę opóźnienia się za słońcem, które światłem swoim wskazuje doby ludzkości.

Niechajże nam wolno będzie wśród życzeń noworocznych pomieścić i życzenie rychłego południa na zegarze społecznego postępu po drodze cywilizacji i rozwoju w rosącym zdrowiu duchów i ciał!...

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

Smutny był wieczór zimowy, na dworze wicher niósł śnieg drobny, suchy gęsty, zmiatając go po płaszczyznach, a kupami zasypując doły i kąty. O trzy kroki przed sobą światła Bożego widać nie było. W powietrzu, jakby duchy niewidzialne kocią wyprawiały muzykę, odzywały się dziwne jęczące, wyjące, grzmiące niemal głosy. Uciekały one gdzieś daleko, inne gonily za niemi, nadbiegały, wirowały, opadały ku ziemi i nagle unosiły się w górę. Był to prawdziwy sabbat szatański, o którym lud zwykł mawiać, że śmierć potępieńca zapowiada i wielką z niej piekła uciechę.

Obnażone z liści gałęzie drzew uginały się, łamały i padały potraskane. Niejeden słomiany dach i kruchy płot musiał się obalić tej nocy. W małych chatkach, niczem nie osłoniętych, drżały ściany i brzęczały okienka, o które były okiennice. Można się było nazajutrz spodziewać pozasypywanych dróg i przerwanych komunikacji; a kogo nocna ta zawierucha schwyciła w polu, ten cudem się chyba mógł uratować.

Chociaż godzina wcale późną nie była, w miasteczku Białej Radziwiłłowskiej, na zamku i gościńcu żywa się już dusza nie pokazywała. W oknach domostw, jeśli się gdzie świeciło, to zawiąne drobnym śniegiem szyby, ledwie blask jakiś przepuszczały. Zamek od przodu i brama z wieżą, która stała od wjazdu, czarno się i posepnie na niebiosach jaśniejszych malowały. Drzewa otaczające jak skelety sterczały na wałach. Jedno maleńkie okienko w kordegardzie, gęstą kratą żelazną przeplecione, czerwonawem światłem, jak okiem gniewnem nazewnętrz patrzało.

W pośrodku, w wielkim podwórzu, pusto było; a w oknach mieszkań mało gdzie jeszcze świeciło. Wiatr, i tu zakradłszy się, harce wyprawiał, pod ściany książęcego zamku zmiatając śniegu kupy, z których czasem porwawszy nagle połowę, w górę ją rzucał, by potem cisnąć gdzieśindziej. W prawem skrzydle, w małej izdebce na dole, u rozpalonego na kominie ognia, który mimo wichru, spokojnie gorzał, siedział zadumany, z fajką krótką w zębach (do której właśnie w tym czasie, na wzór króla Augusta III, ludzi wielu nawykło); pan Marcyan Butrym, podłowczy nadworny księ-

cia Hieronima Floryana Radziwiłła, chorążego litewskiego. Z ubioru jego widać było, że wieczorem musiał dopiero z lasów powrócić, bo miał jeszcze na sobie kurtkę lisami podbitą, długie buty myśliwskie i pas skórzany. Czapkę tylko bobrową zamienił był w izbie na małą i zużytą czapkę wyszywaną, która, od niechcenia włożona, mało mu głowę okrywała. Na kominie paliły się wesoło suche olszowe drzewka, których płomieniami wszystkimi barwami tęczy bawił oczy — żadne-bo na świecie drzewo tak nie płonie pięknie, jak olszyna — poczawszy od purpury, fioletu, zieleni aż do złota, gdy, umierając, się stroi.

Oczy też p. Butryma zabawiały się tym widowiskiem, choć myśl jego była gdzieindziej. Marcyan Butrym, starej rodziny zubożałej potomek, który teraz księciu chorążemu służył, miał w twarzy i postawie coś, co starą krew szlachecką a rycerską wydawało. I pewnie lepiej-by mu było przystało w hussarskim stroju, niż w tej kurcie zielonej — ale, nie każdemu na skrzydła stało i na hussarską zbroję. Piękny chłop, choć już dobrze trzydziestkę przeszedł, Marcyan wyglądał świeżo, zdrowo, silnie, a z twarzy tak pięknie, że mu nie jeden panicz mógł zazdrościć. Oczy rozumnie patrzyły; czoło miał piękne, usta wyrazu pełne, a choć służbę miał bardzo skromną i na dworze zajmował porządne stanowisko, zdawał się być do rozkazywania stworzonym.

Zapalony myśliwy — wielki miłośnik psów i koni — winien był temu, że mu książę chorąży dał podłowczego urząd u siebie, bo, choć sam odczawszy, mniej już teraz polował, wyprawiał jednak często łowy wspaniałe i nie chciał, aby łowiectwo u niego zaniedbanem było.

Butrym bodaj też dla miłości lasów i łowów przyjął ten urząd, który mu niewiele przynosił, u przy księciu porywezym, dziwaku, dumnym i okrutnym, nie łatwy był do piastowania.

Lecz cóż miał robić Marcyan, gdy ich z małego dziedzictwa wyzuto i ręk nie było zaco zaczepić? Starym obyczajem należało się pańskiej kłamki trzymać.

Któż wie, właśnie może zapatrzony w ogień, zadumany Butrym, rozważał: czy ta kłamka za którą chwycił, prowadziła do czego?

U nóg podłowczego leżący duży legawiec, który się przed ogniem wyciągał i drzemał, poglądał niekiedy w oczy panu i zasypiał znowu.

Nagle podniósł głowę, zwrócił ją ku drzwom, nastawił uszy i zdawał się coś wietrzyć; a że podłowczy nie spodziewał się nikogo — zdziwiony, powoli głowę też ku drzwom obrócił. Nagle zapukano do nich; Marcyan nie miał czasu się odezwać, gdy pies zaszczekał niespokojnie, drzwi się otworzyły i słusznego wzrostu mężczyzna, cały śniegiem obsypany, w kożuchu i czapce barankowej, ukazał się w progu.

Z wejrzenia i postawy podłowczego, przypatrującego się przybyłemu, poznać było można, iż gość to być musiał niespodziewany, a nawet niezajomy może, gdyż Butrym począł się mu przyglądać pilno, a pies jego porwał się na nogi i szczekał zajadle.

Otulonego kożuchem, którego kołnierz twarz mu zasłaniał, a czapka, górną część twarzy zakrywała — trudno też poznać było.

Głosem, w którym zziębnięcie czuć było — powiedział przybyły gospodarza.

— Niech będzie pochwalony!

To mówiąc, zrzucił z głowy nakrycie, odwinął kołnierz, ukazał twarz urodziwą, młodą i uśmiechającą się — i czekał aż Butrym go pozna.

Ten siedział z oczyma pilno wlepionymi, zdziwiony, w niepewności jakiejś — jakby go zdumienie do stolka przykuło.

Podróżny stał, ręce rozstawił, czekał, aż mu się z piersi wyrwało:

— Marcyś!

Stółek runął na podłogę, tak szparko rzucił się podłowczy, z okrzykiem biegnąc, i zawisł na szyi gościa.

Uścisk długi, w ciągu którego wyrwały się im niezrozumiałe a wesołe wykrzykniki, połączył ich i prawie do łez radosnych rozrzewniał.

— Zkądże ty tu? w Imię Ojca i Syna i Świętego Ducha! Zkąd ty tu? — począł gospodarz, po-

magając zrzucić kożuch przybyłemu. Co się stało? jakim sposobem?

Gość się rozbierał i mówić nie mógł, tak był wzruszony. W izdebce niewielkiej, ledwie na nich dwu dosyć miejsca było. Marcyan wysunął drugi stółek, miskę z niego zrzuciwszy, i podał przybyłemu, patrząc mu w oczy.

— Czekaj — niech trochę rozmarznę! — odparł gość, oglądając się do koła. To całe twoje mieszkanie?

— Mam drugą izbę obok, ale nieopaloną — odparł Marcyan — ja dla siebie jej nie potrzebuję, bo rzadko do domu siedzę.

Patrzeni sobie w oczy — i gospodarz, za ręce go pochwyciwszy, powtórzył:

— Ale mów-że, zkąd ty tu się wziąłeś? Ciarki po mnie chodzą, gdy pomyślę, że Lunewil porzucił i taką dobrą służbę, o którą się inni dobijają. Chyba cię z czem posłano?

W miarę jak Marcyan mówił, smutniało oblicze gościowi, począł patrzeć na podłogę i wzdychał.

— Łaj mnie, jako chcesz, bo może na to zasługuję — rzekł, — Nie mogłem tam na obczyźnie wytrzymać — nie mogłem! Zateśkniałem się, oszalałem, koniom okulbaczyli i — uciekłem!

Marcyan ręce załamał.

— Jezu miłosierny! Cóżes ty najlepszego zrobił! — smutnie szepnął — mój drogi Damazy!

Brat rękę mu na ramieniu położył i zawołał butno:

— Co się stało, odstać się nie może — łaj nie łaj, do Lunewilu nie powrócę.

— A cóż tu robić będziesz! — wykrzyknął podłowczy.

Damazy ruszył ramionami lekceważąco.

Milczeli obaj. Podłowczy namarszczył się mocno, zafrasowany. Ponieważ w sionce się jakiś szelest dał słyszeć, a pies jego poszedł wietrzyć coś ku drzwom, Marcyan przeto dał znak bratu, aby milczał także.

Wstał po chwili Marcyan.

— Na dworze zawierucha? — spytał.

— Wściekła — rzekł przybyły.

Na nogach się trudno utrzymać. Dopiero wieczorem się tu dobiłem, gdy już zmierzchało — i, prawdę powiedziawszy, nawet do zamku z miasteczka dostać się było trudno, ale mi tak pilno, tak pilno było do ciebie!

Uścisceni się raz jeszcze, Marcyan spoważniał i zachmurzył się. Na ucho rzekł bratu:

— Jak ono jest to jest; już lepiej, żebym ja ciebie do gospody przeprowadził i żebyśmy się tam rozmówili.

Obejrzał się w koło.

— Tu, nie bardzo bezpiecznie — westchnął — a my o wielu rzeczach musimy mówić.

— Jeżeli każesz, to i do gospody — odparł Damazy, trochę zdziwiony — ale nie lepiejże-by tu było?

Marcyan głową potrząsnął.

— Nie lepiej — rzekł krótko.

Po chwili zwrócił się ku niemu i dodał:

— Widział cię tu, gdys do mnie szedł?

— Nie sędzę — rzekł Damazy — wietrzyisko wyje okrutnie, więc mnie przez bramę idącego pewnie nie słyszał nikt, a nie spotkałem też nikogo.

Wiadomość ta zdawała się gospodarzowi pożądaną.

— Wdziej-że kożuch napowrót — odezwał się — ja wezmę opończę i pójdziemy. Gdzieś stanął? Masz kogo z sobą?

Damazy się uśmiechnął.

— Pawluczka tylko — rzekł — tyle całego dworu. Stanąłem w rynku u Chai.

— Poznała cię? — spytał brat.

— Juści by też nie miała poznać! — uśmiechnął się Damazy — a Marcyan skrzywił się trochę, co zdziwiło brata.

Tymczasem śpiesznie się przyodziewali; gospodarz ogień w kominie do kupki zgarnął, obejrzał się dokoła i, choć na podwórzu wicher wył szalony, wyszli, nie nie mówiąc, w podwórze. Zależało na tem podłowczemu, aby go z zamku wychodzącego niekoniecznie postrzeżono; nim więc ze drzwi się wysunęli, rozpatrzył się po podwórzu i prowadził brata pod ścianami, miękki śnieg wybierając, aby kroków ich nie posłyszano, choć szum wiatru ostrożność tę czynił zbyteczną. Taksamo weszli

w bramę ciemną i przebyli ją szczęśliwie, nie spotkawszy nikogo — mijając drzwi kordegardy, nieszczelnie przyknięte, przez które z wnętrza świeciło.

Podłowczy odetchnął dopiero swobodniej, gdy się sami jedni na pustej drodze, wiodącej mimo Akademii, ujrzeni.

Rozmowa byłaby się pewnie poczęła zaraz, lecz dla wicheru, choć szli, pod ręce się wzięwszy, jeden-by drugiego nie słyszał.

W miasteczku takie pustki były, jak na drodze od zamku, a zajazd Chai, choć się w nim świeciło, zamknięty już był i dobijać się doń musieli.

Wierny ów Pawluczek Damazego, nie spodziewając się w powrotem tak rychło swego pana, siedział za stołem w szynkowni przy kwarcie grzanego piwa — i zrazu stukanie do wrót na wicher składał. Musiał podłowczy do okna szturm przypuścić; dopiero im otworzono.

Chociaż w izdebce, w której gość miał nocować, w piecu już żydek napalił — zimno tu jeszcze było, a mimo okien i okiennic, drobny śnieżek się wciśkał szparami.

Dwaj bracia jednak, a szczególnie podłowczy, wolał tę mizerną izbę w karczmie, niż swój kąt zaciszny na zamku.

Chaja im miodu przyniosła, stół z kąta bliżej ku piecowi przysunęto, obaj zwierzcchnich sukni nie zrzucali. Siedli obok siebie, w oczy sobie patrząc.

— Jak Boga kocham! — rzekł Damazy — tyś prawie odmłodził, tak dobrze wyglądasz.

Uśmiechnął się Marcyan.

— Choćbym rad ci się tążsamą wywdzięczył monetą — rzekł — nie mogę — juści nie postarzałeś, aleś spasował. Mizerny jesteś.

Damazy westchnął.

— Namęczyłem się — rzekł — okrutna to rzecz, tęsknica. Jak człowieka porwie, jak go uciśnie, żebyś olbrzymem był, żebyś nie wiem jaką wolę i siłę miał, złamie cię ona, zdusi i na ziemię powali.

— A za kimżeś tak się zateśkniał? — przerwał Marcyan — juściż nie za mną? Na świecie zaś my dwaj, jako dwa palce, nikogo więcej nie mamy.

— Dłaczegóż-bym za tobą nie miał tęsknić? — przerwał Damazy, spuszczać oczy i rumieniać się.

— Gadaj zdrów! — rozśmiał się drugi. — Nie wątpię ja, że ty mnie kochasz, jak ja ciebie, ani o tem, że gdyby ratować było trzeba, jeden-by za drugim z końca świata przybiegł, ale....

Spojrzał mu w oczy i głową potrząsał.

— Nie bałamuć — rzekł smutnie.

Damazy popił z lampeczki.

— Domyślaj-że się jako chcesz — zamruczał.

— Ani zgadywać, ani się domyslać nie potrzebuję — odparł ciszej. Wiem co cię tu przyprowadziło, no — i....

Nie dokończył.

— I, co? — zawołał nagląco brat — mów-bo jasno.

— Wolałbym, żebyś mnie nie pytał — rzekł niechętnie Marcyan — i żebym ja ci o tem mówić nie potrzebował.

Pobladał Damazy i gdy w oczy bratu spojrzał, już mu odwagi do dalszego badania zbrakło.

Dwuznaczne słowa Marcyana tyle dawały do myślenia, iż uląkł się.

Milczeli czas jakiś.

— Hej! hej, — zamruczał podłowczy, — jak ono jest to jest, nie dziwuj się, zem zdumiony był zobaczywszy cię, a zamiast ci być z serca rad, ledwie się nie zasmucił. Złes zrobił, żeś przyjechał, złe — tyle ci tylko powiem.

Trochę się było zapomniało tego, o czem trzeba było zapomnieć... a tu w ogień leziesz znowu!

Uderzył kubkiem po stole. Damazy w ogień patrzył zadumany.

— Wszystko ja to wiem, co ty mi mówisz, — odparł tęskno, — mówiłem to sobie sto razy: nie pomogło. Co człowiekowi przeznaczonem, nie minie!

I zebrawszy się na mężstwo, Damazy dodał rezolutnie:

— Mów otwarcie! nie szczędź mnie. Złego się czegoś mam dowiedzieć: niech wiem.

— No, to wiedz, ino ci to powiem, — odezwał się podłowczy, — nie miałeś tu poco jechać. Masz-li rozum, nie popasaj długo, nie pytaj więcej i nie o-

glądaj się—na koń siadaj, a jedź, czy do Nieświeża, czy do Wilna, staraj się służby. Tu nie masz co robić.

Wstał, powiedziawszy to, i po izbie chodzić zaczął. Damazy, błądy jak ściana, oczyma za nim wodził.

— No, to niechże choć wiem, zaco mnie ten los ma spotkać? — rzekł głosem złamanym.

— Nie pytaj, — odparł podłowczy.

— Poszła zamąż? — odezwał się Damazy.

— Gorzej, gorzej! — zawołał Marcyan i siadł naprzeciw brata.

Ten już i pytać nie umiał.

— Matka wszystkiemu winna, — mówił podłowczy, ona nic. Najnieszcześniejsza jest. Znałeś starą Zaborską, jaką całe życie była, taką i pod siwym włosem została. Kiedyś do Lunewilujechała, siedziała naówczas z Faustysią we dworku na Wólce, który im tanio policzono. Można było żyć i lepszych czasów czekać. Brat starej, Lubiszewski, przecie wioskę ma, bezdzietny i kiedyś jej z sobą na tamten świat nie zabierze. Niechby były cierpliwość miały.

— Sknera przebrzydły! — w stół stukając przebąknął Damazy.

— Zaborskiej się czekać sprzykrzyło, — mówił podłowczy. — Było to przed trzecim księcia maryżem z wojewodzianką czernichowską, Miączynską. Stary książę za kobietami tęsknił; na polowania jeżdżąc, po chatach chłopskich, mówili, upatrywał, czy mu co w oko nie wpadnie. Zaborska sobie naumyślnie dobrała taką chwilę, aby o miejsce we dworze księcia prosić.

— Szatan, nie baba! — łamiąc ręce krzyknął Damazy, któremu oczy się paliły.

— Zobaczył chorąży Faustysię, — dodał podłowczy, — no, i nazajutrz na zamek się im do bielizny sprowadzić kazał. Od tego czasu — ho! ho! do Zaborskiej nie przystępował! ani jej poznać! U księcia w łaskach, Faustynkę prezentami obrzuca, a ludzie Bóg wie, co plotą.

— Nie! nie! nie może to być, — oburzył się Damazy. — Ona! Faustynka, a! nie!

Wstał ze stołka, chwytając się za włosy. Podłowczy za rękę go ujął.

— I ja dziewczyny nie posądzam, — rzekł, — pocziwają była i harda. Nie wierzę, aby się miała tak zmienić, ale pozory wszelkie są! choć książę wkrótce potem z Miączynską się ożenił, choć niby do niej się przywiązał, Zaborska z córką z łask nie wypadła. Faustynka się tak stroi, jak żadna, matka tak przewodzi tu, że, dosyć powiedzieć, Wolski ten, pierwsze oko w głowie u chorążego, a jej się boi. Dzieje się im, jak u Pana Boga za piecem.

— Nie może to być! — rozpaczliwie powtórzył Damazy.

— Z taką matką? wszystko może być, — odparł podłowczy. — Nie chcę wierzyć i ja, ale oczy widzą moje wiele rzeczy, których wytłómaczyć trudno. Księżna chorążyna powzięła była zazdrość, próbowała, słyszę, że dworu wydalić Zaborską i z córką. U ojca w Zawieprzycach dawała im miejsce. Doszło to do księcia: w passyją wpadł i do żony przez tydzień mówić nie chciał, a dąsał się, że go ledwie ksiądz biskup Riokur z nią przejednał. Zaborska została, i jeszcze jej pensyi przyczyniono.

Damazemu, który z głową obwisłą siedział, łyżę się w oczach zakręciły. Ręką zamachnął nad głową i zawołał na głos wielki:

— O stokroć głupi, kto białejgłowie zawierzył, i w ręce jej oddał szczęście swoje! Słowa ich pajęczyny, przysięgi ich mgły, które lada wiatr rozwieje. Mój Boże, mój Boże, pomyśleć tylko, aby ten anioł, ten ptaszek, to śliczne cacko popadło w ręce tego... bydle...

Podłowczy usta mu zatknął ręką, nie dając dokończyć.

— Milcz, chcesz-li żyw być! — zawołał, — nie wiesz-że gdzie jesteś? że tu i ściany uszy mają, a kto się do lochu pod wieżą dostał, ten żyw nie wyjdzie! Siebie, mnie i ją zgubić możesz, człowicze.

Damazemu spojrział mu w oczy ponuro.

— Mnie o siebie już nie idzie, — rzekł, — ginąć, no! to ginąć! Nie mam naco życia żalować.

Podłowczy, nic nie mówiąc, ruchami rąk i głową

blagał go, aby milczał. Damazy wkońcu uśmierzył się nieco. Nalał sobie kubek i wychylił go duszkiem.

Brat przysiadł się do niego i cicho szeptać mu zaczął:

— Nie gub siebie i mnie. Nie krwaw sobie serca. Wiesz już co się święci; robić tu nie masz co: jutro na koń i precz jedź. Ty naszego dworu nie znasz: tu jeden drugiego szpieguje, śledzi, wydaje, a u księcia dosyć podejrzania, aby do lochu wrzucić kazał. Są tacy, co po dziesięć lat światła Bożego nie widzieli, choć winy na nich innej niema, tylko ta, że o nich zbój ten, Wolski doniósł, iż krzywo na pana patrzeli. Mrą po tych podziemiach ludzie niewinni, że o nich nie wie nikt, kiedy ich nocą na wozie bez trumny wywozają i na rozdrożu gdzieś pogrzebią. A któż się porwać może przeciwko temu panu, który tu jak król rządzi, wojsko swe ma, sądy swoje i kata, a co powie, to się spełni bezkarnie? Dokazywał i dokazuje niejeden, szalał krajczy czarnawczycki, ale i ten nie lepszy! tylko nie tyle o nim słychać, bo ludzie się i gadać boją. Zbiegł ze dworu Zaranek, którego książę skrzywdził, począł się po Warszawie ze skargami nosić. Doszło to chorążego... a no, patrzcie, naraz Zaranka przestano widzieć w Warszawie, i nigdzie go niema, przepadł—albo on jeden?

— A ty mu słyszysz? — odparł z wyrzutem Damazy.

Marcyanowi po ustach przeszedł uśmiech bolesny.

— Nie znalazłem go tak, jak dziś, gdy się nastęrczył, — rzekł, — teraz i odejść trudno. Miałem to nieszczęście, że mu się podobał w sprawach łowieckich. Psiarni takiej, jako żywo, nigdy nie miał, jak dzisiaj. Gdy w Nieświeżu na polowaniach raz wraz przypadki bywają, u nas idzie jak z płatka. Łowczy do posłuchów dobry, ale w pole niezdatny: na mnie wszystko.

Mysłisz, żeby mnie puścił, gdybym za służbę podziękował?... okuć-by może kazał, a gdybym zbiegł, nie miałbym kąta, żeby się przed nim skryć.

Damazemu słuchał, prawie uszom niewierząc.

— W Koronie, jak w Koronie, — dodał Marcyan, — jeszcze się przed tą prepotencją Radziwiłłowską można gdzie skryć, albo i opiekę znaleźć; ale tu na Litwie? oni wszystkim trzęsą, wolno im, co chcą. Z królem trzymają. Król i Brihl dla nich ślepi, widzą tylko, co oni im pokazują.

Słuchał Damazy, jak odrętwiały.

— Dziej się wola Boża! — odezwał się, gdy brat dokończył, — ale czy już ja się jego ulęknę i pójdę precz, jak wy mi radzicie? Nie darmom dla Faustynki z Lunewilu uciekł i tu się przywlokł.

— A no, — odparł brat ironicznie, — zrób jakieś obmyślenie. Zostań. Jutro już Wolski o tobie wiedzieć będzie i księciu zaraportuje. Około Faustynki mało tego, że matka na straży, ale sto oczów na nią patrzy... Byleś się sprobował zbliżyć, doniosą; książę zazdrosny, słyszę, o nią; najmniejszego podejrzania dosyć, aby się mścił. Znajdą łatwo za co się przyczepić, a i pozor szukać nie będą. Gdy się raz w ich ręce dostaniesz, żadna siła ludzka cię z nich nie wydobędzie żywym. A i to wiedzieć ci potrzeba, że dosyć ci Butrymem się zwać, aby cię Wolski nienawidził. On też o łaski pańskie zazdrosny, a że książę dotąd względny dla mnie i chwali, Wolski-by mnie w łyżce wody utopił. Ze mnie nienawiść ta łącno na ciebie spadnie.

Zadumał się Damazy.

— Już ty mnie strachami temi nie odegnasz, — rzekł. — Jestem tu, nie widząc się z Faustynką; nie pójdę, choćbym miał głowę nałożyć. Możesz mnie nie znać za brata; jam się gotów inaczej nazwać.

— Albo ludzie tu cię, począwszy od Chai, nie znają? — zawołał Marcyan.

— Są na wszystko sposoby, — przerwał Damazy.

— Tylko na to niema sposobu, aby się do ich rąk dostawszy, z nich się wydobyć, — rzekł smutnie podłowczy.

I zbliżywszy się do brata, padł mu w objęcia.

— Damazku mój! — zawołał, — dwóch nas na świecie jest; tyś mi drogi, jak życie własne. Nie gub się dla głupiego dziewczęcia, które ciebie nie jest warte. Jedź, zapomnij, znajdziesz drugą; dla tej życia na kartę nie staw, na rany Zbawiciela!

Milczał Damazy, lecz wyrwał się z uścisku, niezachwiany w postanowieniu.

— Nie bój się o mnie, — zawołał. — Wiem-cija, że tu nie przelewki, i czem mi to grozi; wiem, że serce mam miękkie: ale ja głupi nie jestem, — zobaczysz. Gdzie przebojem nie można, potrafię inaczej.

Zatrzymał się nieco i zamyslił.

— Wolski więc u niego pierwsze oko w głowie? — zapytał.

— A tobie co po nim! — krzyknął podłowczy.

Damazemu nic nie odpowiedział.

Siedzieli tak długo, słowa do siebie nie mówiąc. Marcyan niekiedy przyszedł Damazemu uściskać w milczeniu i westchnął; Damazy chodził zadumany, z brwiami namarszczonymi.

Po przybyciu z Lunewilu widać było, że pracował biedny głową, jakby w położeniu tem, radę sobie znalazł, brata nie narażając; bo że o własnej skórze nie myślał i obawy o nią wielkiej nie miał, z buty jego i miny wniesić było można. Marcyan, który już na dworze księcia chorążego, pod żelazną ręką jego i despotyzmem magnata, nie lękającego się ni Boga ni ludzi, znacznie był oniesmielony i oględniejszy, spoglądał na brata ze trwogą, którą w nim buta przybyśza rodziła.

Kilka razy już zaczynał mu coś opowiadać, aby pożądaną trwogę i ostrożność w bracie obudzić; ale obawiał się ścian, podsłuchów, szpiegów, i choć na dworze była zawieja, zajazd zamknięty, niedowierzał jednak.

Zadumani tak siedzieli u pieca, w którym się mokra sosnina paliła, pasami światła rzucając po izbie, której górna część stała ciemną, gdy drzwi się uchyliły ostrożnie i, z trudnością wysoki próg przestępując, wdrapała się do izby stara gospodyni, Chaja.

Karczmarka była otyła, ciężka, odziana i ubrana starą modą, z czółkiem na głowie, w wytartym kożusku z kotów. Choć twarz miała rozlaną i trzy pod nią podbródki, a tusza dozwalała się zdrowia domyślać, blada była i żółta, pomarszczona, mizerna. Rękę jedną trzymała za załóżką, niegdys lamową, w której resztki nici złotych przeswiecały, drugą osłaniała się, bo kożuszek, na jeden rękaw włożony, z niej spadał. Marcyan, spojrzawszy na Chaję skrzywił się, jakby niebardzo był rad, że ona go tu spotkała i na rozmowę ich chciała wyciągnąć. Chaja zbliżyła się z wolna ku piecowi, chcąc też z ognia korzystać i trochę się ogrzać przy nim.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Grudniu 1881 r.

Siódma z kolei kometa tegoroczna. — Stare wspomnienia tego zjawiska. — Katastrofa wiedeńska. — Nowa sztuka p. Sardon'a, *Odette*, w Wodewilu i literackie ztąd zatargi autora. — P. Bournier i jego *Apostół*. — Trudno płynąć przeciw wodzie. — P. Zeller i jego *Historia Niemiec*; tom IV: Panowanie Fryderyka Rudobrodzkiego. — Nowe wykopaliska i pomniki chaldejskie.

Katastrofy, nadzwyczajne wypadki, wszędzie dziś i we wszystkim, począwszy od ciał niebieskich, które wystąpiły, bodaj! czy nie do ostatecznej sarabandy. Wszakże oto siódmą kometę zapowiadają nam w tym roku; odkryta w Ameryce, zbliża się szalonym pędem do ziemi, i wkrótce będzie ją oglądać gołym okiem. Czy macie gorącą żądzę widzenia tego zjawiska? Ja przyznam się, iż straciłem wszelką ciekawość. Bo cóż-to mi za komety, te mgliste, ogoniaste gwiazdy, których trzeba szukać po niebie, jak szpilki w worku? Pamiętam, że w młodym wieku pokazywano mi jakąś

starą książkę z XVI wieku, z pysznymi drzeworytami, z których jeden wyobrażał kometa tak straszną, tak przerażającą, w postaci smoka ogniowego, czy jakiejś fantastycznej bestyi, że dzięki młodej wyobraźni, biorąc to za wierny wizerunek tego zjawiska, rozpalając ogniem i blaskiem tę bestyę, drżałem jak listek! To mi dopiero kometa! Ale te wybladłe mgławice! śmiać się z nich tylko—i koniec.

Strasniejszą nierównie od komet proroczych, okropniejszą jest katastrofa wiedeńska. Właśnie miałem wam mówić o teatrach, kiedy tu nadeszła wieść przerażająca. Tyle ofiar! Wśród tych gruzów, jeszcze tlejących i dymiących, aż do chwili, w której to piszę, ileż-to istnień ludzkich wstrzymanych nagle, jak igła na zegarze wieczności! Ile-to myśli, żądz, chęci, zamiarów! ile przeciętych nagle stosunków, prac, dążeń! Włosy stają na głowie na samo wspomnienie.

Mówiono zrazu, że więcej niż tysiąc ofiar zagrzebanych zostało; później zgłaszający się nieobecni a wzięci za ofiary wypadku, zmniejszyli liczbę do 700; dwustu kilkudziesięciu ciał wcale dotychczas nie rozpoznano, bo były zwęglone lub porozrywane na kawały¹⁾ Grób wspólny, przeznaczony dla niepoznanych trupów, ma 50 metrów długości i cztery metry szerokości. Poświęcenia i ofiar nie brakło. Rozповідаją tu sobie o kilku officerach, którzy, będąc w teatrze, nie myśleli o własnym ratunku, lecz padli ofiarą poświęcenia się dla bliźnich.

Wiedeń, ten przyjemny, ten wesoły Wiedeń, który w moich, tak blizkich, wspomnieniach, widzę w blasku, w szczęściu, z uśmiechem na ustach, dziś, jako pokutnica we włosienicy, bije się w piersi i płacze, i niesie ofiary na zapomogę nieszczęśliwych rodzin. Wszystko to porusza głęboko strunę tkliwości i żalu. U Świętego Szczepana na solennych exekwacjach jedna z kobiet wyższego towarzystwa, porwana żalem niezmiernym, w przystępie okropnych spazmów dostała nagle obłąkania, i tak ją z okropnym śmiechem na ustach wyniesiono z katedry. Na cmentarzu izraelickim, kiedy chowano odszukane i poznane ofiary, tłum niezmierny ludu tłoczył się na tych mogiłkach, a w chwili, kiedy rabin Jellinek, kończąc poruszającą przemowę i tłumiąc żal, który się mu rwał z piersi, wymówił powolnie te słowa: „Der Herr hat es gegeben, der Herr hat es genommen“, cały ten tłum wybuchnął niezmiernym jękiem i łkaniem.

Składki na rzecz nieszczęśliwych ofiar tego wypadku są liczne i napływają ze wszystkich stron. Tu, w Paryżu, zbierają je w prassie, w teatrach, w towarzystwach uczonych. Ale co to znaczą wszystkie te objawy i miłosierdzia wobec tego nieszczęścia, które osierociło nagle tyle osób, tyle rodzin! Zostawmy już tę straszną sprawę śmierci przed oblicznością Bożą; sprawy życia w inną ciągną nas stronę.

Mieliśmy tu w Listopadzie przedstawienie w Teatrze Wodewilu — nowej sztuki p. Sardou. Mówię „sztuki“, bo nie można tego nazwać ani dramatem, ani komedią, jak ją przecież nazwał autor. *Odetta* jest to jedna z tych sztuk teatralnych, dziś w modzie i we wziętości, sztuk mających służyć do rozwiązania pewnych społecznych zagadnień. Przyznam się, że do tego rodzaju literackich produkcji zawsze miałem wstręt niezmierny; ale ponieważ stary jestem, a to są młodszy, którzy prowadzą na scenę ten korowód nowego pomysłu, w obawie, abym nie płynął czasem wprost przeciw prądowi, jak powiadają *postępu*, trzymam się ostrożnie brzegu i pozwałam płynąć wodzie, patrząc tylko zdaleka.

Zdarza się zapewne, że szczęśliwy autor, jeden z miliona, trafi przypadkiem na przedmiot, który zarazem posiada wielkie dramatyczne przymioty, i zawiera w sobie rozwiązany temat społecznego zagadnienia, wówczas dzieło staje się arcydziełem. Ale to jest wyjątek jeden z miliona, a reszta? „A dokąd, pyta pasterz, biegniesz biedne cielę“.

Zagadnienie społeczne, które postanowił rozwiązać w swej sztuce Sardou, jestto: „że opu-

szczenie pocziwej drogi życia przez zamezną kobietę, prędzej czy później sprowadza karę w postaci własnych jej dzieci“. Temat nie nowy, uprawiany z powodzeniem przez tysiące tysięcy lat, w różnych strefach, krajach i literaturach, zaczawszy od prawodawców, aż do pisarzy powieści. Ale Francuzi, z uporem i zamiłowaniem szczególnem, trzymają się na tej ubocznej drodze i w jej wypadkach szukają najsilniejszych efektów scenicznych.

Pomysł sztuki nowej, a nawet jej układ, niema w sobie nic nowego. Hrabia de Clermont żyje w separacji ze swą żoną. Miał z nią córeczkę, którą zachował i wychował przy sobie, i której powiedziano, że jej matka nie żyje, że się utopiła w kąpielu, w Trouville. Piętnaście lat upłynęło od tej separacji, pomiędzy pierwszym gwałtownym aktem, w którym niewierną żonę pan hrabia wypędza z domu o północy, a drugim, w którym separat i separatka spotykają się w Nicei — właśnie w chwili, kiedy hrabia znalazł męża dla swej córki, w osobie niejakiego p. de Meryan. Tu następuje konieczność odkrycia mu całej prawdy co do położenia narzeczonej; ale prowadzenie się matki staje na przeszkodzie zamiarom ojca i skłonnościom serca panny. „Gdyby żona pańska, pisze do hrabiego babka p. de Meryan, pozostała była w Neapolu, nie nosząc twego nazwiska, byłabym nader szczęśliwą, ustalić ten związek naszych dwóch rodzin“; ale oto owa pani spada do Nicei, w najniekorzystniejszej sytuacji, jaka być może, i czyni to małżeństwo całkowicie niemożliwym.

Wszystko więc jest zerwane, skończone, rozpacz kochanków straszliwa — gdy nagle, przez łaskę bożką widoczną, występna matka, odzyskując stracone od tyłu lat dziecię, doznaje głębokiego wzruszenia uczuć macierzyńskich, niezgasyłych dotąd w jej sercu. Dowiedziawszy się, iż ona-to jest jedyną przeszkodą do szczęścia swej córki, poświęca się, i, aby odpokutować swój grzech, znika, rzuca się do morza.

Oto rozwiązanie wielkiego zadania! Według swojego zwyczaju p. Sardou zaczyna swą sztukę w sposób bardzo zręczny, bardzo dramatyczny nawet; dwa pierwsze akty są świetne, żywe, ruchliwe bardzo. Obrazki obyczajowe, dzisiejsze słabości i wady, typy dobrze schwycone, przesuwały się przed oczami widzów w zręcznie malowanych obrazach.

Mamy przed sobą Niceę i jej świat różnorodny i różnobarwny; plotki, skandale, karnawał tego miasteczka z szulerstwem *et caetera*! Te dwa akty, które możnaby łatwo odrzucić, nie szkodząc bynajmniej sztuce, są przecież najlepszą częścią komedii; reszta już naciągana, wykrecona, wymuszona, a rozwiązanie prawie dziecinne, tak oklepane i znane zkadinał.

Sztuka ta jednak, grana wybornie, trzyma się dobrze na scenie, a powodzenie jej dało nawet powód do rozmaitych zażaleń na autora, do zarzutów o plagiat. P. Uchard, autor *Fiamminy*, dawniejszy aktor — pierwszy, co wystąpił w roli kochanka w *Damie z kamelią* Dumasa — wystąpił teraz z processem literackim, twierdząc, iż Sardou wyciął swój dramat z jego powieści. Zapewne: jest podobieństwo położenia, a rozwiązanie wypadków u Ucharda stoi wyżej; jednakże żąd do plagiatu daleko jeszcze. Ale ten dyabelski Uchard przyczepił się do p. Sardou i ciągle powtarzając, że go kocha, uwielbia, że jest mu przyjacielem od serca, gryzie go, szarpie; skomli i piszczy. Prawdziwa komedia z komedii.

Tak to zawsze bywa na świecie: komu się powodzi, wszystko mu służy. Inni daremnie próbują szczęścia, on w niem opływa. Mamy tego żywy i żyjący przykład na autorze *Córki Rolanda*. Choć od pierwszego ukazania się tej tragedii zawsze czyniłem moje zastrzeżenia, i co do talentu autora, jako dramaturga, i co do samej sztuki, przecie tutaj, i u nas, głos był tak powszechnie przyjazny dla p. Bornier'a, że musiałem zmilczeć, czekając dalszych następstw tych niezwykłych favorów publiczności paryskiej.

P. Bornier, któremu pierwsze jego dzieło przyniosło *maximum* nagrody, bo nietylko piękny grosz za prawa autorskie z Teatru Francuzkiego, ale i krzyżyk Legii honorowej, i dobre miejsce bibliotekarza w księżnicy Arsenau, chciał i dalej roz-

wijać szczęśliwe pasmo powodzeń i nowe przedsięwzięcia. Ale tu, licząc zawsze na zyskaną tak łatwo sławę, zmylił kierunek i chciał przeciw wodzie płynąć. Nie udało mu się ta próba i będzie pamiętał na przyszłość: co to jest służyć opinii publicznej.

Nie wiem, czy pamiętacie, ale w jednym z dawniejszych moich listów wspomniałem wam o wyecie autor *Córki Rolanda* do Algierji, w celu studyowania miejscowości i zbierania na miejscu materiałów do nowego dzieła dramatycznego. Przyznam się, że to ogłoszenie w „dziennikach“ zdziwiło mnie trochę. Jeździć aż do Afryki, aby studyować przedmiot dramatu z dalekiej przeszłości: zdawało mi się rzeczą szczególną, i gotów byłem położyć to na karb niedyskretnej, choć dobrej chęci w prassie paryskiej: służenia kollegie i przyjacielowi. Dziś dowiadujemy się, że owa nowinka była prawdziwą, i że chodziło o dramat, natchniony może ponętami studyami p. Renana nad *Początkami Chrześcijaństwa* i mający za przedmiot Sw. Pawła.

Dramat, napisany wierszami w trzech aktach, ma za tytuł *Apôtre*. Poraz drugi ten gorejący miecz słowa przyszedł zabłysnąć przed oczami niedowiarków i walczyć przeciw nowożytnym Faryzeuszom. Przyszedł do swoich i swoi go nie przyjęli. Daremnie p. Bornier nosił pięknie i czyście przepisane rękopismo do Teatru Francuzkiego; napróżno pukał do drzwi Odeonu: dyrekcyje zostały głuchemi na wezwanie dawnego ulubieńca, bo im przynosił zakazany tu dziś owoc: Akta Apostolskie! Podtrzymywani subwencją rządową, pamiętają one tak niedawne napomnienie, dane im z góry, we względzie *Świata gdzie się bawia*, i nie chcieli probować cierpliwości administracyjnej. Skończyło się więc na tem, od czego mogło się zacząć, że *Apostół* wsunął się ukradkiem prawie na skromne rusztowanie sali odczytów przy Bulwarze *des Capucines*, przeszedłszy przez salon probierczy nieuniknionej pani Adamowej (Juliette Lamber).

W Sali odczytów widzimy liczne zgromadzenie dobranych, przyzwoitych osób, wielu literatów, kolegów, przyjaciół autora z żonami i dziećmi, a więc wiele biletów bezpłatnych, półtorasta albo dwieście osób, że sala zaś niewielka, to jak nabił. Czytelnikiem jest p. Mounet-Sully, artysta Teatru Francuzkiego, artysta, któremu właśnie zbywa na sztuce umiejętnego cieniowania i harmonijnego stopniowania głosu. Oklaski huczne: ale co znaczą oklaski w prywatnym kółku?

Jestto przecież ciekawy wypadek i również znak czasu. Oto poeta z talentem, dramaturg, który się czuje na siłach, który je ma rzeczywiste i dostateczne, aby niedbać o utartą drogę rutyny, posiada już imię w literaturze, to, co napisał do tąd, używa zasłużonej wziętości, cały Paryż pamięta jeszcze tryumfalne przyjęcie patriotycznego dramatu *Córka Rolanda*. I gdy tensam pisarz pragnie w poetycznym blasku przedstawić życie jednego z największych Apostołów Chrześcijaństwa, Pawła, wyprowadzić go na scenę — wszystko się zmienia natychmiast, najlepsi przyjaciele nie chcą przyłożyć ręki do dzieła. Czyżby tamto powiodło się jedynie dla tego, że było patriotyczne? Czyż to odrzucone zostało dlatego tylko, że religijne? Wypadek dziwny w każdym razie.

Apostół p. Borniera nie jest, co prawda, bardzo zabawnym, ale też i nie nudniejszym wcale od *Córki Rolanda*. Trzy akty, trzy obrazy tylko, i to już ma swoją zaletę, kiedy chodzi o alexandryny. Chóry i dialogi rozwijają się porządnie. Cztery główne postaci: Paweł, *Głowa Otwartego Kościoła*, jak go, według Renana, nazywa p. Bornier, apostoł niewiernych, który staje się pracownikiem, *owriem*, aby sprowadzić wyzwolenie ludu z niewoli; Afraniusz, decemwir rzymski, sceptyk, niedowiarek Boży, który przedstawia gasnący, stary politeizm, rabin Elymas, wcielony gmin i niewiście żydowska i jego córka Lydia, która się czuje przejętą duchem chrystianizmu, skłania się ku naukom Pawła, i zostawszy chrześcijanką, nie pozbywa się przecież słabości i nawyknień niewieści; obok niej powiernica myśli i uczuć Menaria i piękna niewolnica Gyryna, która zostaw-

(1) Według ostatecznych sprawozdań ofiarą katastrofy padło 449 osób, z tych 296 nierozpoznanych. (P. R.)

szy chrześcijanką i wyzwoloną, podnosi się aż do bohaterstwa męczenniczki.

Niéma tu ani intrygi, ani knowanych spisków, ani gwałtownych przełomów. Sam autor wskazał najlepiej jaki jest charakter dzieła, dając każdemu obrazowi następane tytuły: *Idylla, Poemat, Elegia, Idylla* — jestto przybycie Pawła do domu Lydyi; w przystępie gniewu i uniesienia młoda Izraelitka przeszywa szpilką ramię swej niewolnicy; Paweł wdaje się w tę sprawę domową, staje w obronie uciśnionej i wyznaje, iż jest chrześcijaninem. Rabin, przytomny tej scenie, oburza się, grozi apostołowi, i uprzedza go, iż wezwie lud do synagogi dla osądzenia tej sprawy; ale nazewnątrz słychać radosne śpiewy i poetyczne wezwania ludu u ołtarzy pogańskich Sylwana i Bachusa.

Poemat, obraz drugi, scena się przenosi na plac przed synagogą. Ze środka świątyni dochodzi odgłos modlącego się ludu i religijne śpiewy. Elymas wyrzuca córce jej pobłażanie dla Pawła, Żyda, który się przeniewierzył ołtarzom świętym, i rzuca na nią przekleństwo! Wówczas Paweł występuje wśród tłumu, staje w obronie Lydyi, i odpowiada temu, który go powołuje przed sąd synagogi, wyznaniem nowej wiary. Groźby rabi- na i tłumu nieustraszają wcale Apostoła, głosy błagających kobiet nie zdołają zmiękczyć jego odwagi i woli. Zamiast uciekać przed wściekłością Żydów wzburzonych przez rabi- na, apostoł pozostaje niewzruszonym i siłą swjej ognistej wymowy sprowadza nawrócenie się Lydyi i jej słuzebnic.

Elegia, obraz trzeci. Znajdujemy tu apostoła w chwili ostatecznego przesładowania. Elymas ściga go na czele fanatyków zagorzałych i daje rozkaz żołnierzom, aby go schwytali. Poraniony, pokaleczony kamieniami, Paweł wobec tej zbestwionej tłuszczy, odwołuje się do swego prawa obywatelstwa rzymskiego i udaje się do portu w Neopolis, z kądem na odpłynąć i gdzie go przyjmuje i wita piękny chór wioślarzy, przyszłych uczniów apostoła.

Ten chór, który się powtarza z coraz rosnącą siłą przy końcu każdego aktu, nadaje charakter szczególnie i poruszający tej sztuce i na którego efekt na scenie, musiał wiele liczyć autor, ale niestety! *Spes fefellit illum.*

Takim jest ten dziwny dramat, który odepchnięto ze zgrozą od pierwszego teatru paryzkiego. Czemu? Bo dyrektorom chodzi o publiczność, a nie o sztukę; aby schlebiać tej publiczności dzisiaj, potrzeba pieprzniejsze nad te przysmaki zastawić na scenie.

Co ich ustraszyło jeszcze, to pokazanie na scenie apostoła, właśnie wtedy, kiedy tu moda w inną stronę. Widzimy już jak w Izbie Poselskiej pomrukują na sutanę. *Athala Racine'a* uchodzi jeszcze, bo to Stary Testament; ale coś nakształt *Polyukta*? a broń Boże!

(Dokończenie nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Grudniu 1881 r.

Chociaż miasto nasze zatracca powoli charakter stolicy i nie przyciąga w swe mury obywatelstwa z prowincyi na zimowe miesiące, z nadejściem późnej jesieni i u nas znać pewne ożywienie, jeśli nie ulic, to umysłów, szukających rozrywki w szlachetnych zajęciach i zabawach.

Pamiętka zgonu Mickiewicza nie mogła przejść niepostrzeżenie w grodzie, który pierwszy postawił pomnik wielkiemu wieszczowi, wyprzedzając dzisiejszy ruch całego kraju. Wprawdzie posągteń, dłuta Oleszczyńskiego, nie zdobi według pierwotnych zamiarów i życzeń żadnego z szerszą widownią placu miejskiego. Przeciwnie okoliczności zmusiły nas do umieszczenia go na uboczu, przy kościele św. Marcina. Ale przyznać trzeba,

że mu tam dziwnie do twarzy, w sąsiedztwie świątyni Pańskiej, wśród zieleni i ciszy cmentarnej, dających odpowiednie ramy białemu pomnikowi. Rocznica śmierci poety zgromadziła liczną publiczność na salę Bazaru, a Towarzystwo „Stella“ zajęło się czynnie urządzeniem i uroczaieniem wieczoru przez muzykę, deklamacyą i odczyty. Fortepian i skrzypce, chóry kierowane przez p. Dembińskiego, kantata jego układu na cześć Mickiewicza — powszechnie znalazły uznanie. Redaktor naczelny *Kuryera Poznańskiego*, ksiądz Kantecki, obrał za przedmiot swego odczytu ostatnią podróż Adama na Wschód.

Wybierając się na Wschód, Mickiewicz rozliczne miał plany i zamysły: w duszy jego krzyżowały się czece mrzonki poety, z istotnymi już, poważnymi zamiarami człowieka praktycznego. Głównie atoli wybrał się na Wschód, dla usunięcia nieporozumień między generałem Zamoyskim a Sadykiem-paszą (Michałem Czajkowskim). Dawny stosunek przechylił go na stronie Sadyka-paszy: Adam przeniósł się do jego obozu w Burgas, i tam uległ zarazie cholery. Podróż ta niedługo trwała. Wyjechawszy z Paryża we Wrześniu, d. 28 Listopada już nie żył. Ostatni jego list, pisany do księcia Władysława Czartoryskiego, uprzedził zaledwie o dni dziesięć zgon wielkiego poety. W listach wcześniejszych, a mianowicie w liście do Tomasza Zana, przeświecają przeczucia niedalekiej śmierci.

Piękny odczyt księdza Kanteckiego żywo zajął zgromadzonych, a serca ich osobnem odpowiedziały echem na wiersz hr. Wawrzyńca Bensełstjerna Engeströma, wygłoszony przez czcigodnego autora, tak zasłużonego wobec powszechności, do której całym sercem przyłąnił. Serdeczne jego słowa gotowy znalazły oddźwięk w słuchaczach, zwłaszcza, gdy, złożywszy hołd pamięci wieszca, zwrócił się z wymówką ku tym, jak ich nazwał: „grabarzem Wielkopolski“, którzy w czasopiśmiech warszawskich, lwowskich i krakowskich, ciskali ostatnimi czasy tyle zarzutów na nasze księstwo.

Przebudowanie frontowego gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ogólne w Księstwie budzi zajęcie i troskliwość. Płyną składki, mnożą się dowody czynnej zabiegłości, a na tem polu znów spotykamy się z gorliwymi zachodami hr. Engeströma, który urządził całą seryą odczytów publicznych w sali pałacu hr. Działyńskiej, na rzecz budowy muzealnej i nie poprzestając na danie hasła, dał sam z siebie dobry przykład, poczet owych prelekcij otwierając trzema pięknymi odczytami o wyspie Gotland, jednej z najciekawszych ziem drugiej, szwedzkiej, ojczyzny swojej. Po tych wdzięcznych obrazach z podróży, mamy już zapowiedziany nowy odczyt księdza Kanteckiego: „O życiu i działaniu księdza Karola Antoniewicza“. Następnie jeden z profesorów Jagiellońskiej wszechnicy, Dr Kazimierz Morawski, obiecuje swe przybycie i większe studium o *Tacycie*, tym dziejopisarzu, który pisał „żrącą i palącą goryczą wymowy“.

Jednocześnie odczyty w Towarzystwie Przyjaciół Nauk i w gronie innych stowarzyszeń, następują nieustannie po sobie, świadcząc o żywotności umysłowej, której nam odmawiają niechętni, a która stwierdza się jeszcze ruchem stałej i nie stałej literatury, mnogością czasopism, oraz wydawnictwami niestrudzonych naszych księgarzy.

Zawiązało się u nas niedawno stowarzyszenie, mające na celu zaopatrywanie ubogich przybytków Pańskich w przybory kościelne. Panie nasze chętną podają rękę nowej instytucji, której najpiękniejszy pierwowzór oddawna przedstawia Warszawa. Skupia to i jednoczy siły dotychczas rozproszone i działające pojedynczo. Obyczajem dawnych matron, nie braknie u nas szlachetnych pracownic, które prawdziwie artystyczne talenta swoje poświęcają ku ozdobie domów Bożych, lub też dzieła swych paluszków oddają na cele dobroczynne. Doroczne niegdyś *wenty miłosierne* w pałacu hr. Działyńskich zapoznawały nas z pięknymi okazami trudu i artystycznego zmysłu córek tego domu. Malowidła hr. Grudzińskiej na akşamie i jedwabnych materyach, ogólny budziły zawsze podziw; siostra jej, Anna hr. Potocka, przeniósła dziś do Galicyi przykład niezmordowa-

nej działalności, a widok ubóstwa tamecznego ludu poddał jej zacną myśl rozbudzenia nowego przemysłu wśród wieśniaczych prostaczków, nauczaniem ich koronczarstwa, otwieraniem szkółek snycerstwa i rzeźbiarstwa. Hr. Potocka, nie zmarnowawszy talentów od Boga sobie danych, zbiera już owoce swych trudów i nieraz wśród swych uczniów spotyka pierwszorzędną zdolności. Nietylko przemysł, ale i sztuka rozwija się śladem podobnych zabiegów, nietylko materyalnie kraj się podnosi, ale i moralny poziom jego wzrasta. Nam-by się zdało, iż talentów rodzimych u nas nie braknie, ale je w wielu przypadkach, mianowicie w sferach wykształconych, zagłuszamy jednostronnem ćwiczeniem się w samej tylko muzyce. I czas i palce wyłącznie bywają oddawane na rzecz harmonii, nieraz czysto mechanicznie pojmowanej, kiedy wartoby się przekonać: azali instynkt i rodzinne zdolności nie wiodłyby raczej na tory innych sztuk. Roboty kobiece także podnieść-by się dały, przy dobrej woli ludzkiej, na wyżyny artystyczne.

Przed kilkoma laty w Paryżu urządzono wystawę robót samych arystokratek i rzemieślniczek, i ujawniły się z tej okazji prawdziwe arcydzieła. Prym tam trzymała Polska, chociaż niby same Francuzki wstąpiły w arenę współzawodnictwa z pracowitą Arachną. Obok księżny Czartoryskiej, wyżej nawet od niej, stawiano niedawno zgasłą księżną Beauvan. Była to ostatnia z trzech uroczych sióstr, owych sławnych z urody, rozumu i wdzięku panien Komarówien. Jedną z nich, Delfina Potocka, uniesmiertelniona miłością poety, który w niej uznał Beatrycze swoją, mistrzowskim śpiewem koła cierpienia umierającego Szopena, i doniedawna królowała w intelligentnych i artystycznych kołach stolicy Francyi. Natalia Spada przeniósła do Rzymu przykłady swych cnót i trudy badań religijnych. Trzecia, Ludmiła z Komarów księżna Beauvan, promienny po sobie ślad zostawiła w przybranej ojczyźnie swojej. Zasłynęła między innymi rzadką pracowitością i zdumiewającymi utworami zręcznych, czarodziejskich rączek. Wysoko ceniono w Paryżu ekrany, na których dowolnie, według własnego rysunku i pomysłu, haftowała pstre, różnobarwne ptaszyny. Igła w jej rękę stawała się pędzlem: umyśliła na przykład przenieść na obszerną makatę powiększony pejzaż Oudry'ego, za pomocą, nie farb, lecz sznerek różnokolorowych, i stworzyła prawdziwe arcydzieło przejrzystością i siłą samego, bardzo sławnego, oryginału. Znawcy chwalą też bardzo kopią *Madonny wyzwolenia* Ernesta Heberta, której dokonała srebrnymi nićmi, na złotej lamie kosztownej kapy. Do końca życia niemal pracowitą dłoń nie próżnowały i dopiero śmierć wytrąciła z jej palców wzorzyste pasma, misterną tkaną ręką.

Niechże te słowa pośmiertnego hołdu idą zająć miejsce obok odgłosów działalności kobiecej, tak skwapliwie przez Redaktorę *Bluszcza* gromadzonych. Oby takie przykłady zwrócić mogły działalność niewieścią w kierunku, dziś zbyt często zaniedbanym. Niegdyś krosienka i kądziel ulubionem były naszych babek zajęciem; później, w matkach przeważnie uprawiano *talenta*; dziś w córkach przemaga prąd utylitarny, nauką góruje zazdrośnie w wychowaniu, wypierając zeń to wszystko, co niegdyś składało się na wdzięk kobiecy. Gdyby to można, nie zarzucając książki, nie wykluczając praktycznych stron tegocześnie wychowania, wrócić potrosze i do dawnych tradycij, podjąć i robotkę babuni, klawikord lub harfę matki i pogodzić w harmonijnej całości owe trzy prądy, które zyskałyby niezawodnie na zlianiu się z sobą, a w wyłączności tracą i całe pokolenia wystawiają na pewne niedobory!

Ostatni miesiąc w roku nasuwa zawsze chęć pewnego obrachunku z dobiegającego już swego końca okresu. Przeminał on cicho dla naszej dzielnicy, nieznaczony żadnymi znacznymi wypadkami. Materyalnie był on cięższym i smutniejszym od innych, wywiódł za morze wielką ilość ludu po chleb do Ameryki. Liczba przeciętna wychodźców z całych Niemiec doszła w ubiegłym roku do poważnej liczby stu tysięcy. Ież-to naszych rozbitków przypada na tę smutną statystykę! Ale, jakby dla dodania nam otuchy, wynik ostatnich wyborów do parlamentu pokrze-

pił wszystkich na duchu i dodał bodźca do pracy. Skutkiem gorliwego zrozumienia i wypełnienia obowiązków wyborczych, podnieśliśmy naszą reprezentacją z trzynastu lub najwięcej piętnastu do osmnastu posłów, którym przewodniczył w Berlinie pan Ignacy Łyskowski, zasłużony obywatel Prus Zachodnich i wieloletni już zapasnik parlamentarny. Siły koła polskiego nie tylko się zwiększyły, ale i odmłodziły kilku nowymi nabytkami, a zadatkami działalności i czujności frakcyi naszej, jest stałe przebywanie w sali radnej, mimo dość obojętnej i nużącej początków wszelkiej nieworopoczynającej się kadencji.

Teatr nasz zmienił dyrekcją i z rąk p. Doroszyńskiego przeszedł pod kierownictwo p. Lucjana Kościeleckiego. Ów *coup d'état* administracyjny zatrzymuje w mieście naszym całe grono artystów, których poprzedni dyrektor, zniechęcony przeciwnościami i pustkami sali teatralnej, zamierzał wyprowadzić na nowe prowincjonalne wędrowniki. Katastrofa wiedeńska nie przyczyni się do poprawienia stosunków materialnych naszego teatru. Ogólny przestrach wstrzymuje najzapalniejszych amatorów widowisk scenicznych, od uczęszczania na przyjemności, grożące podobnym niebezpieczeństwem, i sale przedstawień w ostatnich dniach świeciły pustkami. Z chlubą dowiedzieliśmy się, iż przy ratowaniu nieszczęśliwych tonących w morzu ognia, najwięcej się odznaczył ziomek nasz p. Witold Korytowski, sekretarz ministerjalny, z narażeniem się własnem ocalając kilkadziesiąt osób skazanych na nieuniknioną zagładę.

DROBNE LISTKI.

— Gdyby wiek XIX miał Shakespaera'a! — zawołał poeta angielski, Tennyson, z powodu kilkodniowego pobytu cesarzowej Eugenii we Francji i jej pielgrzymki do miejsc przeszłej swej wielkości i straconego szczęścia. Że nie poznana od nikogo zwiadała pałac w Fontainebleau, że błądziła koło ruin Tuileries, wiedzieli wszyscy, ale dowiedziano się teraz dopiero, że była również w starożytnej katedrze paryskiej: w kościele Notre Dame. Przybyła tam pieszo, o drugiej godzinie w południe, i ogromna nawa świątyni była już zupełnie pustą; ona wszedłszy przez drzwi główne, szła środkami przez całą jej długość, aż do wielkiego ołtarza. Postępowała powoli, sama, zostawiając o kilka kroków poza sobą towarzyszące jej osoby, i dopiero na stopniach ołtarza padła na kolana i modliła się w milczeniu chwilę czasu — płakała. Gdy podniosła się, nikt nie śmiał przystąpić do niej i wróciła jak przysła: postępując tą samą drogą świątyni środkową i dopiero gdy u drzwi podał jej rękę pan, towarzyszący jej (de T*** pi-szą dzienniki) rzekła mu: — Trzy razy w życiu byłam tu: w chwili mego ślubu, w chwili chrztu syna mego i dziś.... Dziś przebywała tę drogę wygnanka owdowiała i bezdzietna, monarchini bez korony, przebywała ją jak widma — duchy pokutujące niezdołne oderwać się duchem od miejsc, gdzie pozostała cząstka ich przeszłości.

Kirasyer Fuchs, bohater ludowy z czasów wojny francuzko-pruskiej, figuruje dziś po wszystkich murach Paryża na ogromnych afiszach panoramy Valentino, gdy zsiadłszy już z konia, broni się jeszcze zgrał Niemców, kolbą karabina. Fuchs, żołnierz z 7-go pułku kirasyerów, był wzięty do niewoli niemieckiej w Metz, po nikczemnem wydaniu miasta Niemcom i dzielił ją z trzema towa-

rzyszami, spotkanymi w Niemczech: z Cazenave, zuawem z 1-go pułku, Pignat, żołnierzem 5-go pułku piechoty liniowej, wziętymi w niewolę pod Sedanem; z Paté, rannym w bitwie d. 11 Października pod Orleanem i zabranym przez Bawarów z całym ambulanssem. Zeszli się ze sobą na Pomorzu w Szczecinie i postanowili uciec do ojczyzny d. 23 Grudnia 1871 r., za co zostali skazani na pięć lat aresztu w twierdzy szczecińskiej. Przecież w wilią Nowego roku, kommandant twierdzy zawwał do siebie Fuchs'a i oznajmił mu, że został ulaskawionym. — Pojutrze będziesz wolny — rzekł mu. — Wyruszysz zaraz w drogę i wrócisz do siebie, do Alzacji.

— Panie kommandancie — odparł Fuchs — nie mogę wrócić do siebie, bo jestem żołnierz i pozostaje mi jeszcze dwa lata do wysłużenia. Zatem muszę wrócić do mego pułku.

— Alzacja już nie należy do Francji i nie ma też dla ciebie żadnej obowiązkowej służby w wojsku francuzkim — rzekł mu kommandant, lecz Fuchs oświadczył, że nie może tego uczynić i nie uczyni w żadnym razie. Kommandant dowodził mu, że mówił niemiecku, jest zatem Niemcem, Fuchs odparł, że mimo to, czuje się jednak Francuzem i uwolnienie go na zasadzie narodowości, cofnięciem zostało. — Zostanę z kolegami — powiedział Fuchs spokojnie i pozostał do d. 15 Marca 1872 r. w którym to czasie wypuszczono wszystkich czterech. Gdy w przejeździe przybyli na stacyą strasburską i przedstawili kommandantowi etapu swoje karty uwolnienia, ten rzekł znów Fuchs'owi: — Jesteś Alzatezyk, to jest Niemiec, zatem podróż twoja skończona, i wracaj do siebie.... Ale on powtórzył co dosłowa to, co raz już powiedział: — Jestem Francuz, stawiam się pod chorągiew moją, bo mam jeszcze dwa lata do skończenia służby wojskowej.... Wioska rodzinna, dom, rodzice starzy, przyjaciele lat młodzieńczych, byli o godzinę drogi od niego, lecz on tylko spojrzął w stronę ukochaną i skierował krok przed siebie, tam, gdzie nie tylko przebywa ciałem w punkcie jakimś, ale duch jego żyje rozpromieniony w całym wielkim przestworze francuzkiej swej ojczyzny, i żyć tam będzie wieki długie, bo

— Z legendy rąk
Weźmie złoty miecz rycerza
I światłości krag....

Elektryczna Wystawa Payzka okazała się nie tylko przez naukową, ale i finansową stroną wielkim, bo nadspodziewanem powodzeniem. Kiedy nieukończona jeszcze likwidacya Wystawy Powszechnej z 1878 roku zapowiada deficyt czterdziestu milionów franków, tu przewyżka zysku nad wydatkami wykazała się summa trzysta sześćdziesiąt tysięcy. Akcyonaryusze, którzy dla miłości nauki poręczyli przypuszczane przez wszystkich straty, ujrzeli się niespodziewanie panami kapitału, który według propozycji prezydującego: Cochery, ma zostać użyty na założenie stałego, w Paryżu przebywającego stowarzyszenia elektryczności, któreby wydawało pamiętnik naukowy, urządzało odczyty i czyniło doświadczenia publiczne. Światło elektryczne, jaśniejące w czasie wystawy w Pałacu Przemysłu, odpowiadało światłu 55,000 płomieni gazowych, że zaś całe oświetlenie Paryża, razem wzięte, ma 49,000 płomieni gazu, tu więc przewyżka odpowiadała blaskowi 6,000 płomieni. Rezultat ten otrzymano siłą pary, przedstawiającą 1,800 koni, co jest dziesiątą częścią siły, którą Sekwana dostarczyć może, w przepływie swym przez Paryż. Gdyby potrzebne tu prace hydrauliczne, zostały wykonane i tę, nie kosztującą siłę, oddano na posługę elektryczności, wszystkie

domy całego Paryża nosiłyby na sobie napis: — „Światło, ciepło i motor elektryczny na wszystkich piętrach!“ Tak prezydujący dowodził przy bankiecie pożegnalnym, danym przez Francuzów, przy zakończeniu wystawy.

Latarnia elektryczna została umieszczona w miejscu zeszłym w Planier u ujścia Ronu; natężenie światła równa się 100,000 płomieni latarni systematu Carcel, uświeca przeszło 500,000 hektarów powierzchni wody czyli dwadzieścia dwie mile morskie. Budowa latarni kosztowała trzysta tysięcy franków.

Konkurs króla belgijskiego z nagrodą 25,000 franków na dzieło z dziedziny umiejętności, ustanowiony dnia 15 Grudnia 1874 r., ma się rozstrzygnąć po raz wtóry w 1885 r., przez sąd złożony z trzech belgijskich, a czterech z różnych narodowości przez króla wybranych uczonych. Przedmiotem konkursu jest obecnie wykazanie najlepszego sposobu rozpowszechnienia nauki geografii, z podaniem metody, według której wykłady geografii w niższych i wyższych szkołach prowadzone byćby mogły. Cudzoziemcy, stający do konkursu, powinni dzieło swoje, drukowane lub w rękopiśmie, po dzień 1 Stycznia 1885 roku nadesłać belgijskiemu ministrowi spraw wewnętrznych, do Bruxelli. Są zapewne jakieś formy, przy przesłaniu rękopisów wymagane, o których wywieście się należy pisarzom stającym do konkursu.

Gondole Weneckie z poetycznymi, Tassa śpiewającymi gondolierami, zniknęły nazawsze ze świata lagunów i romansu. Stało się to zeszłej jesieni. Dnia 1-go listopada miały się ukazać na kanałach Wenecki małe statki parowe, używane na jeziorze Genewskim i zwane „Mouches“, zatem w wilią dnia tego wszyscy gondolierowie w liczbie osmiuset zebrali się razem i strojni świątecznie, tylko każdy z szarfą czarnej krepy u prawego ramienia, przepłynęli miasto całe, płynąc jeden za drugim i śpiewając smętnie jakiś hymn Stradelli. Po czem zniknęli poza dalszemi wysepkami pani Adryatyku, aby nie ukazać się już więcej. Rząd musiał oddać na posługę miastu małą flotyllę pontonów, aby komunikacya nie została przerwana na tych liniach, gdzie jeszcze statki-muchy nie kursują.

Złożono w naszej Redakcyi dla ofiar oplatanych wypadków:

w Kościele Ś-go Krzyża

L. Ilnicka rs. 5; Michał Glücksberg rs. 25; Stan. Krzemiński rs. 3; Katarzyna Balewicz rs. 5; T. M. kop. 50; Z. M. kop. 50; J. Z. ze Żmerynki kop. 50.

Na ulicach Warszawy

M. Ilnicka rs. 5; Michał Glücksberg rs. 25; Stan. Krzemiński rs. 5; Katarzyna Balewicz rs. 5; T. M. kop. 50; Z. M. kop. 50.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się początek nowej powieści pod tyt.: **Szczęść Bożę**; oraz dalszy ciąg powieści pod tyt.: **Marek**.

Ogłoszenia do **BLUSZCZU** przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy **BERNARDA BERSOHN** w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

TPEŚĆ. Adam Asnyk, biografia, przez Maryą Ilnicką. — Pogawędka. — Na Bialskim zamku, powieść historyczna, przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie — Korrespondencya zagraniczna (Poznań). — Drobnie listki.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glückseberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 22 Декабря 1881 года.

SZCZĘŚĆ BOŻE

P O W I E Ś Ć

przez autorkę „ZERWANE WIĘZY”

przełożył z niemieckiego J. M.

Choć już była późna godzina po południu, Katedra stała otwarta i oświetlona, a tłum ludzi wewnątrz i długi szereg powozów na ulicy dowodził, że ślub który miał się tu odbyć budził zajęcie w szerokich kołach publiczności. Przecież zebrane tłumy oczekiwały ceremonii w milczeniu. Świętość miejsca nie pozwalała na żadne głośne objawy ciekawości i tylko pojedyncze grupy szeptały żywo między sobą, a głowy zwracały się wciąż ku ołtarzowi. Aż nakoniec pełne radości: ach! wybiegło z wszystkich piersi, gdy drzwi zakrystyi rozchyliły się nakoniec, i przy dźwiękach organów, które zabrzmiały w tej chwili, orszak weselny wkroczył przez nie do kościoła.

A był on liczny i świetnie strojny. Złotem i srebrem haftowane mundury, aksamitne i atlasowe suknie pań, koronki, kwiaty, klejnoty, wszystko to lśniło się i błyszczało, sprawiając chrzęst i szum, gdy rozstawiano się wedle programu koło ołtarza i pary nowożeńców. Arystokracja rodu i złota łączyła się tu ze sobą, przedstawiając śmietankę stołecznego towarzystwa w jego najpyszniejszym blasku. Po prawej stronie panny młodej, jako pierwsza osoba w zgromadzeniu, stał słuszny, poważnej postawy pan, z kilku orderami u fraka. Nie młody już był; układ miał prosty i godności pełen, wyraz twarzy uroczysty, jak w tej chwili przystało. Przecież po za powagą jego szlachetnych a wyniosłych rysów kryło się coś, co nie zdawało się harmonizować z aktem weselnym. Gdy wzrok dziwnie posępny, przez chwilę na młodej parze spoczawszy, zwrócił się w tył po za siebie i przebiegł gęsto natłoczoną nawę kościelną, boleść, czy gniew powstrzymywany wybił się na dumne oblicze, a zaciśnięte usta drżały.

Po drugiej stronie młodej pary znajdował się drugi, już też wiekowy pan, trochę otyły i niższy wzro-

stem, ubrany wykwintnie we frak ostatniej mody, z brylantowymi guzikami u batystowej bielizny. U dewizek zegarka połyskiwały też brylanty, ręka jedna, uwolniona z białej rękawiczki, świeciła pierścieniem kosztownym. W oczach podobnie był blask — blask radości i razem tryumfu, gdy powiódł wzrokiem po orszaku godowników, którzy zasiadali już teraz długie rzędy krzesel kościelnych, ustawionych jedno obok drugiego. Żaden cień nie mroczył tego promienia radosnych uczuć, który z głębi jego wyblyskiwał, jak fajerwerk, na cześć odbywającej się ceremonii spalony.

Ale też tylko tych dwóch ludzi zdawało się wiązać uczuciem poważniejszego interesu z tą uroczystością, tak wielkiego przecież i dla młodej pary jak życie trwałego znaczenia. Oni sami, wyglądali może najobojętniej ze wszystkich, choć ta chwila łączyła ich ze sobą aż do śmierci. Panna młoda, wyglądająca na lat dziewiętnaście, byłaby niezapreczenie, piękną, gdyby nie owiewało ją jakieś technienie mroźne, nie godzące się z miejscem i chwilą. Jarzące światło, bijące od ołtarza, łamało się o ciężkie zwoje jej powłoczystej szaty z białego atlasu, migotało w pysznych dyamentach jej ślubnej korony, ale twarz, którą oświetało, pozostała zawsze tak marmurowo chłodną, jak była posagowo regularną w delikatnych i szlachetnych swych zarysach. Pozostała martwą i zimną jak kamień, choć zwykle taka chwila wrusza najchłodniejszy nawet spokój, a szczególnie kobiecego serca. Bardzo jasne, popielatego cieniu włosy, na których grubym warkoczu leżał mirtowy wianek, stanowiły wybitną sprzeczność z ciemną brwią i ciemnymi, prawie czarnymi oczyma, które w czasie ceremonii zaledwie parę razy podniosły się na księdza. Delikatna twarz, po której obu stronach spływał welon ślubny, była nieco

bladą, lecz najbardziej uderzającą jej cechą stanowił wyraz nie nadanej sobie chwilowo, ale wrodzonej dostojności. Ta dostojność była charakterystycznym rysem całej osoby, tak uderzała nie tylko w wyrazie twarzy, ale w postawie, w układzie, w ruchu każdym, że wszystkie inne właściwości jej osoby usuwały się na plan drugi i znikady niejako z przed oczu. Zdawała się stworzoną na to, aby przebywać wiecznie na tych wyżynach życia, gdzie nie spotyka się nic pospolitego, tak z rzeczy, jak z ludzi, poruszających się kędyś dołem. Niemniej w ciemnych jej oczach było coś, zdradzającego więcej charakteru i tej energii, jakiej u salonowych dam wielkiego świata spodziewać się można, a chwila obecna wymagała może owych sił ducha w stopniu zdwojonym bo orderowy pan po jej prawicy i trzech młodych oficerów, którzy po za nim stali, zwracali na nią spojrzenia w miarę posuwania się ceremonii coraz to lekliwiej trwożne, twarz jej przecież pozostała do końca tak chłodną i spokojną, jak była w początku.

Pan młody który obok niej stał, nie miał jeszcze lat trzydziestu, nie była to przecież żadna osobistość wybitniejsza i zaliczyć go było potrzeba do tej falangi zwanej młodzieżą złotą, która tylko w sferze salonów żyć, błyszczyć i tryumfalne wieńce zbierać może. Elegancki od stóp do głowy, całą istotą swoją wydawał najwyższą na wszystko obojętność, znużenie i znudzenie życiem, światem i światem tego sprawami wszelakimi. Na jego policzkach ani cienia rumieńca, w twarzy ani połysku życia, lub uczucia jakiegokolwiek; wszystko — tam było blade, bezbarwne, jak gdyby gorętsza krew serca nigdy już na to oblicze uderzyć, żadna błyskawica uniesienia, zapалу z rysów tych wyblysnąć nie mogła. Czy ten panicz wiedział, co to radość, lub boleść, czy uczucie było zdolny? Stał obok oblubienicy, trzymał jej rękę

w swojej ręce, jak by to czynił w salonie przy koncertańskim. Był najzupełniej obojętny tak na ważność chwili, jak na osobistość tej kobiety, którą zaślubił sobie, na jej piękność, młodość, wdzięk szlachetny. Twarz jego wykazywała chłód, zmęczenie i znudzenie ceremonią, wystawą, tłumem, któremu służył za widowisko.

Ksiądz skończył mowę i przeszedł do właściwego aktu zaślubin. Czysto i wyraźnie brzmiał jego głos, gdy zapytywał Artura Berkow, czy ma mocną i nieprzymuszoną wolę pojąć sobie za małżonkę tę oto tu przytomną Eugenię, Maryę, Annę von Vindeg Babenau? Gdy następnie zapytanie to ksiądz zostało zwrócone do Eugonii, Maryi, Anny von Vindeg Babenau, czy ma mocną i nieprzymuszoną wolę poślubić Artura Berkow? usta orderowego pana drgnęły nerwowo, coś jak płomień nienawiści błysnął mu w spojrzeniu, które zwrócił w stronę oblubieńca. Ale: *tak*, spokojnie, chłodno, z godnością poważną wymówione zostało i oto baronówna Eugonia von Vindeg Babenau, córka jednego z najbardziej arystokratycznych rodów kraju, została żoną bankierskiego syna, Berkowa...

Gdy wymówiono już ostatnie słowo błogosławieństwa, pan z brylantowemi guziczkami posunął się żywo ku pannie młodej, śpiesząc się, aby ją copędzej, za nim tłum ruszać się pocznie, ostentacyjnie uściskać. Ale ów drugi obok niej, orderowy, szybko też posunął się i przegrodził ją od niego. Uczynił to jednak spokojnie, poważnie, i tak jak ktoś, który przy prawie swoim stoi; pierwszy objął pannę młodą, usta jego, gdy je do czoła jej przycisnął, były drżące i jak lód zimne, a oblicze które przy tym ruchu ku niej pochylił, miało inny, o inny wyraz niż ten, który stojąc przy ołtarzu ludziom pokazywał:—Odwagi ojcze, stało się, co być musiało... szepnęła mu ona.

Te słowa ledwo słyszalne, które jak tchnienie jakieś koło uszu jego zaszemrały, sprawiły swój skutek; wyprostował się znów i tylko córkę raz jeszcze do piersi przycisnął, a w spojrzeniu tklivości pełnem, które wtedy na nią zwrócił, było coś, jak gdyby prośba o przebaczenie. Rozemknął wreszcie ramiona, oddając ją niby temu drugiemu, który z czułości swej objawem niecierpliwie na to czekał; aby „najdroższą synową swą“ uściskał. Ona nie cofnęła się, nie uczyniła najmniejszego poruszenia, któreby jakąś niechęć zdradziło; oczy całego tłumu kościół zalegającego były zwrócone na nich i nie zrobiła tego. Stała nieporuszona, żaden rys pięknej twarzy nie zmienił się, i tylko podniosła oczy, w których wzroku malowała się taka niewysłowiona duma, taka lodowata pogarda tego aktu, któremu uleż musiała, bo unikać go nie mogła, że zrozumiana została. Nieco zbity z tonu teść, żywą swą czułość zmienił na pełną uszanowania grzeczność i uścisk jego stał się jedynie prostą formą, przy której ledwo że dotknięty został koronkowy welon panny młodej. Bankier Berkow, mimo całej świadomości swego znaczenia, nie utrzymał się jednak na stanowisku jakie pragnął zająć w obec synowej.

Młody Berkow nie uczynił swemu nowemu ojcu rzeczy tak trudną. Bardzo zrećnie zamienił ceremonię na uścisk rąk, a raczej dotknięcie się dwóch białych rękawiczek, co zdawało się zadawalniać obu najzupełniej. Potem zaraz p. Artur Berkow, podał ramię młodej małżonce, długi ogon atlasowej sukni zaszeleścił, zamiatając marmurowe stopnie; za tą pierwszą parą ruszył się orszak godowników, mniej więcej dostojnych, wkrótce potem dał się słyszeć turkot ruszających karet i rzecz się skończyła...

Kościół wypróżnił się bardzo prędko. Część tłumy pospierała zaraz za orszakiem weselnym, aby wsiadających do powozów jeszcze widzieć i ci zalegali czas jakiś chodniki przedkościelne; reszta powolniej ze świątyni wypływając, zajęta była uwagami, wzajemnie sobie udzielanemi, co do toalet, min, układu głównych bohaterów tego gratisowego przedstawienia. Rozproszono się z tem po mieście, ganiając, chwalać, rozprawiając, każdy ze swego punktu widzenia sądząc i prędzej niżeli w kwadrans potem obszerna nawa kościoła stała pusta i milcząca. Tylko ezerwony blask zachodu, przedzierając się

przez wysokie okna, oblewał ognistym swym blaskiem ołtarz i obraz w nim umieszczony, a postacie malowane na jego starem tle złotem, zdawały się ożywiać i z ram występować. Przeciąg powietrza, sprawiony przez otworzenie wielkich drzwi kościelnych, poruszał płomień licznych świec, kwiaty których mnóstwo zdobiło świątynię, wyziewały woń swoją w gorącej i od oddechu tyłu ust wilgotnej atmosferze. Rozszypano ich wiele po posadzce kościelnej; po tych powlokły się ogony jedwabnych sukien, stratawały je stopy orszaku weselnego i umierały teraz zmiażdżone, jako ofiara złożona przepychowi i wielkości. Kwiaty, wonne, delikatne, wdzięczne twory natury, zawsze w takich momentach wydane są na łup zniszczeniu. Nikt przecież nie liczy tego, nikt, chyba Bóg, jeżeli oko jego zatrzymuje się i na kwiatach!...

Powozy weselne zajeżdżały tymczasem przed pałac Vindeg i obszerne, pałające światłem komnaty zaczęły się ożywiać i zaludniać. W wielkiej sali przyjęcia wśród blasku światła bijącego od starożytnych pajaków i świeczników, stała para nowożeńców, panna młoda, obok pana młodego, tak piękna wyniosła i lodowata zimna, jak niedawno na stopniach ołtarza, przyjmując powinszowania, składane wraz z życzeniami szczęścia. Czy przecież miał być szczęściem ten związek, który to dwoje zawarło dziś pod błogosławieństwem kapłana? Ciemna chmura, leżąca dotąd na czole barona Vindeg nie zdawała się tego wróżyć.

Cały liczny zarząd wielkich kopalni i górniczych zakładów bankiera Berkow stał zgromadzony u stóp tarasurozciągającego się przed obszernym, budową zamkiem naśladowującym dworem wiejskim. Pyszna fasada, wysokie lustrzane okna, wspaniałe drzwi wchodowe czyniły już wrażenie, które podnosiło się jeszcze przez krzewy, masy zieleności otaczającej w około piękny pałac, gdy po za nim widniał ogród i park, rozciągający się na podwyższonym jeszcze gruncie podgórzy. A nad tem wszystkim unosiła się jakaś świąteczność uroczysta. Ciepłarnie i oranżerie pałacowe zostały opróżnione aby wszystkie terassy, ganki, wschody, ozdobić tą pyszną roślinnością gorącej sfery, która nawet wśród cieplej pory umiarkowanego klimatu pociąga wzrok ku sobie. Najradsze, najwspanialsze krzewy i kwiaty roztaczały przepych barw i kształtów swoich, balsamiczne wonie mieszały się ze sobą, gdy wśród kobiercy trawników wysoko bijące fontanny rzucały srebrne snopy wody w pyszne baseny, w koło których gromadziło się wdzięcznie wszystko, czem miejscowa wiosna w pierwszych chwilach rozbudzenia natury ziemię zdoła. U wjazdu wzniesioną została brama tryumfalna, ozdobiona wytwornie w wieńce i chorągwie. Poniżej stali zgromadzeni urzędnicy kopalni z dyrektorem ich na czele.—Bogu dzięki, że przecież wszystko już gotowe, — zawołał tenże, wyfraczony, biało wykrawatowany pan dyrektor. — Mogą nadjechać lada chwilę. Już też wydałem szczegółowe instrukcje ludziom; skoro tylko karetka ukaże się na drodze, wystrzelą...

— A widzieć ją będzie można dość wczas, bo gościniec spuszcza się z góry w dół, a oni rozmieszczeni są też na wzgórzach — dodał. Dadzą więc ognia w tej chwili, gdy karetka wyjedzie z lasu i wrokowi jadących ukaże się nasza dolina.

— Miałem niesłychaną robotę z tem wszystkim — kończył wchodząc pomiędzy kolegów i podwładnych. P. Berkow żądał, aby przyjęcie było paradne, dał mi na to otwarty kredyt do kassy, ale pieniądze to nie wszystko. Trzeba i dobrej woli ludzkiej a tej nie mamy zawiele. W takich jak nasze zakładach...

— Nie może jej być... Dokończył jeden z przytomnych. Trzeba na to, aby ludzie mieli zawsze dobry humor, co jest rzeczą niemożliwą u nas, jak to pan dyrektor zauważył trafnie.

— Panie inżynierze, proszę mi nie przypisywać tego zdania, którego nie wyraziłem.

— Nie masz go pan zatem, p. dyrektorze?

— Naturalnie... Mieć go nie mogę.

— Jako dyrektor... Ja zaś jako inżynier mieć je muszę, to zdanie nieszczęśliwe. Nasi górnicy nie są dość spokojnej myśli, aby zdolni byli do dobrego humoru i łączącej się z nim wesołości. Z tego powodu mimo kredytu otrzymanego na uroczystość powitania państwa młodych, nie mogłeś pan urządzić rzeczy tak, jakbyś pragnął, to jest, jak pragnął p. Berkow starszy.

— Panie zawiadowco — ozwał się na to dyrektor, do jednego ze stojących obok niego. — Wracasz pan jutro do miasta i zrobiłbyś rzecz bardzo dobrą, gdybyś zdając sprawę z przyjęcia młodych państwa, wtrącił parę wyrazów o stanie rzeczy tu u nas. Tam niechęć wiedzieć o tem, a jednak trzeba aby się dowiedziano.

— Nie odemnie p: dyrektorze, nie odemnie. To nie moja sprawa i nie chcę się w nią mieszać. Wiesz pan dobrze, jak nie lubimy ludzi, którzy nam donoszą o rzeczach niemiłych.

— A... zaczął się śmiać ktoś z przytomnych — wolisz pan zatem donieść jutro p: Berkow senior, że świat cały skakał tu radośnie na cześć małżeństwa p: Berkowa junior.

Śmiano się ogólnie, co nie było dowodem szczególnej miłości, ani szczególnego szacunku tych panów dla pryncypała, aż znów ktoś rzekł: — Nie dziwię się że p: Berkow życzy sobie uciechy powszechnej, gdyż sam zapewne jest niezmiernie uradowany. Małżeństwo którego jest twórcą, to jego tryumf i jego zwycięstwo. Nie mógł dostać upragnionego szlachectwa, ale przynajmniej syna ożenił ze szlachcianką i to nielada szlachcianką! Vindeg-Babenau — to panie: ród! Mieć taką rodzinę, znaczy też coś. Starzy arystokraci zmiękli jakoś w dumie swojej.

Zawiadowca miejskich górniczych zakładów p. Berkowa uśmiechnął się. — Ci nie mogli bardzo przebierać. W mieście wszyscy wiedzą że ich interessa stoją źle, a stary baron ma trzech synów, gołych oficerów i sam przecież musi żyć i utrzymywać honor domu. Czy mu było miło wydać tak córkę? wątpi się o tem... Ale konieczność to twardy orzech, trzeba go zgrzyść...

Dyrektor ruszył ramionami. — Wiem tylko to, że owe świetne małżeństwo będzie nas kosztować kupę złota. Baron pewno dobrze się zabezpieczył przy intercyzie a rzeczywiście nie widzę celu tego połączenia się z Vindegami. Gdyby to była córka — rozumiem, zyskiwała by tytuł i stanowisko męża, ale p: Artur będzie tak samo, jak był bankierskim, mieszczkańskim synem, jakkolwiek jego żona pochodzi ze starej arystokracji.

— Tak pan utrzymujesz p: dyrektorze?.. Otóż ja panu powiem, że się mylisz. Takie pokumanie się z arystokracją nigdy nie pozostaje bez skutku. Stosunki, stosunki — to wiele znaczy! Staremu nie chciano dać szlachectwa, ale młody, mąż baronówny Vindeg, dostanie je nie dziś, to jutro. Przytem w salonie kochanej synowej spotkam się i zaprzyjaźniemy, a przynajmniej poznamy się z ludźmi, którzy dotąd odwracali się od nas tyłem. Już to panie kochany nie trzeba uczyć naszego pryncypała rozumu. Ma on go dość i wie co robi. Małżeństwo p: Artura, to dobry interes i teść może sobie pozwolić trochę kosztu dla takiej synowej...

Jeden z niższych urzędników zarządu: młody, bardzo jasny blondyn, w opiętym fraku i glansowanych rękawiczkach bez zarzutu, ozwał się nagle: — Co do mnie, nie rozumiem tylko jednej rzeczy. Dla czego państwo młodzi przyjeżdżają na miodowy miesiąc tu, do takiej pęsniej pustyni, a nie do Włoch naprzykład, do kraju miłości i poezji...

— Dajże Wilbergu pokuj z miłością i poezją! Jak tu szukać tego tam, gdzie złoto kupuje stosunki, a szlachecka duma sprzedaje się złotu. A przytem jesteś zacofany, mój młodzieńcze. Poślubna podróż do Włoch tak się spospolitowała ostatniemi czasy, że p: bankier uważał ją za rzecz nader mieszczkańską dla jego syna. Arystokracja jeździ w takich razach do swoich dóbr i my zatem, którzy staliśmy się arystokratycznymi, przyjeżdżamy tutaj...

Dyrektor potrząsnął głową: — mojem zdaniem — rzekł — rzecz ma swój grunt poważniejszy. Pan młody mógłby w Rzymie lub Neapolu rozsypanie jeszcze więcej złota, niż go już rozsypał w kraju. A że umiał to robić i robił na wielką skalę — to ja już wiem. Trzeba było koniec położyć takiemu gospodarstwu i nawet był już wielki czas, aby się z tem nieociągano, chodziło już nie o tysiące ale krocie. P: Artur chciał pokazać ojcu, że i morze wyczerpnąć się daje. Doświadczenie wprawdzie piękne, ale nie nęcące dla tego, czym kosztem się odbywa.

Wazkie usta p: Zawiadownicy ściągnęły się sarkastycznie. — Takie żniwo, jaki siew — rzekł. Chciał ojciec mieć eleganckiego syna i ma go. Ale może jest w tem racya, co pan dyrektor mówi. W samotności właśnie najłatwiej się dostać pod pantofelek młodej żonki. Tylko w tym sęk, czy z tej strony okaże się dość dobrej chęci użycia go — tego arystokratycznego pantofelka?

— Czyż pan przypuszczasz, że została przymuszona do tego małżeństwa? zapytał Wilberg żywo.

— Przymuszona... Używasz pan wyrażen tragicznych, przestarzałych już na nasze czasy. Przemówiono do niej rozsądnie. Pan baron dał córce poznać stan interesów, położenie rodziny i panna, uroniwszy może łezkę, przystała... Takich małżeństw jest bardzo wiele i bywają po większej części szczęśliwe. Przypuścić trzeba, że i tu tak będzie. Każde z dwojga dostało, czego pragnęło...

Przecież Wilberg, który wyraźnie był po stronie „tragiczności“, potrząsnął smutnie głową. — Kto to wiedzieć może — odparł z westchnieniem. A jeżeli w sercu młodej kobiety obudzi się kiedy prawdziwa miłość? jeżeli ktoś inny...

— A dla Boga Steinie, czyś to niemógł poprowadzić twojej kompanii tamtędy — wykrzyknął nagle młodzieniec, przerywając sobie i rzucając gniewne spojrzenie na młodego górnika, który na czele pięćdziesięciu towarzyszy wkroczył z bocznej ścieżki na piaszczystą drogę, przy której znajdowali się zgromadzeni urzędnicy. Podkute buty górników podniosły tuman kurzu i zwolennik małżeństw z miłości począł otrząpywać się z pyłu batystową chustką.

— W bok pod górę! zawołał Stein, jak gdyby komenderował wojskiem i prowadził rzeczwiście kompanię. Popatrzano za nim, a Wilberg jeszcze gniewny zawołał. — Co to za niedźwiedz z tego człowieka! Nie przeprosił nawet za swoją niegrzeczność, i zakomenderował, jak jaki kapitan. A czy wiecie panowie, co by był zrobił, gdyby nie jego ojciec? Nie dał Marcie Ewas uczyć się wiersza, który na przyjęcie młodej pani napisałem. Czy panowie znacie ten mój wiersz?

— Znamy — odpowiedział inżynier, i szepnął dyrektorowi, że pod tym względem jest tego samego gustu co Stein. Gdyby było tego choć o połowę mniej, uszło by jeszcze — rzekł, ale tak, jak jest może słuchającego przyprawić o śmierć z nudów.

— Stein jest niemniej zuchwalec, że się na krytykę odważył — dodał. Szkoda panie dyrektorze, żeś go tu z jego ludźmi ustawił. Nie okaże się przy powitaniu młodych państwa najgorliwszym.

— Ale okaże się najprzyzwoitszym przez samą powierzchowność swoją — odparł dyrektor. Co grubsze, rozstawiłem po drodze i wzgórzach od strony wsi, jego zaś z pięćdziesięciu podobnymi mu wezwałem z umysłu na straż honorową przy bramie tryumfalnej. Choć przy takiej okoliczności należy się między ludźmi zrobić trochę różnicy. I w tej klasie nie wszyscy są równi sobie.

Młody górnik o którym była mowa, obszedłszy tymczasem w koło, ustawił się wraz z towarzyszami koło bramy. Była to rzeczywiście straż honorowa, bo wszyscy ci ludzie byli jeden w drugiego młodzi, przystojni i porządnego pozoru, ale żaden równać się nawet nie mógł z kapitanem swoim, jak Wilberg nazwał młodzieńca, który był od wszystkich wyższym o głowę. Była to męzka, okazała postać, ten Stein i ciemna zapięta kurtka górnicza uwydatniała to w sposób bardzo korzystny. Twarzy nie

można było nazwać bardzo piękną w scisłem znaczeniu piękności klasycznej: czoło nie było dość wysokie, usta choć świeże i czerwone jak wiśnia, były za grube, rysom brakowało poprawności linii regularnych, nie mniej całe oblicze przedstawiało jakąś piękność właściwego sobie rodzaju: było charakterystycznie męzkie i niepospolite. Jasny, lekko kędzierzawy włos układał się z jakimś wdziękiem prostym nad szerokim, można powiedzieć potężnym czołem; duża, także jasna i wijąca się broda zakończyła twarz, dobrze harmonizując z całym jej wyrazem. Cera była ogorzalą, co przecież nie szkodziło bynajmniej ogólnemu wrażeniu tej fizjonomii, a przeciwnie podnosiło blask jasnych, niebieskich oczu w których było coś niemal rozkazującego i budzącego szacunek. Młody górnik przedstawiał wcieloną energię i męzkość. Nie pociągał może do siebie sympatją serdeczną, ale nakazywał poważanie, którego już na pierwszy rzut oka odmówić mu nie było można.

Starszy wiekiem człowiek nie zdający się należeć już do falangi robotników, jakkolwiek nosił ubiór górniczy, przysunął się do grupy pod bramą. Była obok niego ładna, młoda dziewczyna i oboje zwrócili się ku Steinowi. — Szczęść Boże — rzekł mężczyzna, używając zwykłego powitania górników, tak między niemi zwyczajnego, jak gdzieindziej ludzie mówią sobie: Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony! Jakże tu wam poszło Ulryku: czy wszystko już w porządku?

Stein bąknął coś przez zęby, ale cała drużyna odpowiedziała wesoło i uprzejmie: — Szczęść Boże panie Szychtmajstrze... Wzrok prawie każdego skierował się na dziewczynę.

Mogła mieć koło lat dwudziestu, była bardzo ładna i tak zręczna, że nawet niepowabny ubiór wieśniaczki tamtejszej okolicy nie mógł popsuć tego, co natura dała jej na wdzięk i powab miły oku. Raczej mała, niż wysoka, głową ledwo że do ramion Steina dosięgała, Grube ciemne warkocze spuszczały się po obu stronach świeżej, wiosną młodości rozkwitającej twarzy; lekko opalona od słońca, z zarumienionymi jagodami, z dużymi błękitnymi oczyma, silna choć nie gruba i nie prostacza, przedstawiała obraz pięknej, świeżo z rąk natury wyszłej kobiecości. Gdy się wraz z szychtmajstrem przysunęła ku Steinowi zrobiła ruch, jak gdyby chciała wyciągnąć dłoń do niego, lecz gdy on, zmarszczony zawsze, jak był dotąd, spojrzął na nią bez żadnego uśmiechu, szybko spuściła rękę. Szychtmajster dostrzegł co zaszło i spojrzął po obojgu. — Jesteś w złym humorze Ulryku, bo się nie stało zadość twej woli — rzekł. Ale widzisz, Marta ma we mnie nietylko wujka, ale i opiekuna, według słów i rozkazów moich kierować się powinna.

— Pociesz się przecież, bo z czasem mogę od tego odstąpić, dodał weselej. Gdybyś przecież teraz chciał się złościć za bardzo, ojciec musiałby ci powiedzieć słowo prawdy.

— Skorobym zyczyl sobie coś powiedzieć Marcie, powiedziałbym jej po prostu i bez ogródki — odparł Ulrich Stein dumnie a wzrok jego posępnie obrzucił dziewczynę i piękny wieniec ciepłarnianych kwiatów, który trzymała w ręku.

— Spodziewam się — rzekł mu starszy Stein do brotliwie, ale w tej chwili dostrzegł, że drzewiec wielkiej flagi, umieszczonej na wierzchu bramy tryumfalnej skierował się na bok. Patrzno! Ulrychu! zawołał — runie to ci na głowę i wszystkie wieńce pociągnie za sobą.

On ruszył ramionami: — To nie moja rzecz mieszać się do tego. Moja robota jest tam... w szybie, tu niech naprawia ten, kto źle budował.

Szychtmajster spojrzął niecierpliwie na syna i odwrócił się do jednego z bliżej mu znajomych górników, Lorenza, ale nagle zmienił zamiar. Sam się ruszył do roboty, wdrapał się na boczne rusztowanie i nakierował drzewce chorągwi, przywiązał je mocno gdzie należało. Tylko co zszedł i przyglądał się zdołu dziełu swojemu, gdy nagle z pagórka po za pałacem padł jeden, potem drugi i trzeci strzał. Był

to znak, że powóz państwa młodych już się ukazał na drodze.

Zrobił się ruch, panowie urzędnicy zapinali guziki u rękawiczek; dyrektor przeglądał czy wszystko jest w porządku; Wilberg potrząsnął długimi włosami i szybko przysunawszy się do Marty, badał po raz dwudziesty, czy wiersze jego pięknie wydeklowane zostaną; młodzi górnicy bó obu stronach bramy mustrowali się pod mimowolnym popędem tej myśli że ma ich ujrzeć piękna i młoda pani: ten przeciągnął skórzanego paska, ten kapelusz lepiej sobie nasunął. Tylko Ulrych Stein z obojętnością prawdziwego kamienia, nieruchomo się trzymał, gdy naraz szychtmajster, który obok Marty wprost bramy stał i na gościniec patrzył, wydał krzyk przerażenia.

Powóz spuściwszy się z wyżyn lesistych, pędził — nie...leciał szalonym pędem w dół doliny, unoszony przez parę rozbieganych koni. Młode i płochliwe, zestrachaly się widocznie strzałów i po szerokiej drodze rzucały tak powozem, że co chwila mógł zlecieć w dół znajdującego się po prawej stronie głębokiego parowu, albo rozbić się o potężne pnie drzew, rosnących z lewej strony. Stangret stracił całkowicie przytomność, lejce puścił i w trwodze śmiertelnej koła się trzymał, aby pod koła niezlecieć. A tymczasem strzelano ustawicznie z różnych pagórków, które drzewami zasłonię, widoku wręcz na drogę nie miały; były to jakgdyby kłociem ostrogi dla rozszalałych zwierząt i można się było spodziewać co chwila najstraszliwszego nieszczęścia. Para nowożeńców mogła każdego momentu zostać parą gwałtownie zabitych trupów. Na moście prawie to koniecznie stać się musiało, a most ten był już tak, tak blisko!

Zebrani na terrassie przed pałacem czynili to, co w chwilach wielkich a nagłych niebezpieczeństw robić zwykły gromady ludzkie. Krzyczano, biegano tam i na powrót, z miejsca się przecież nie ruszając, i tylko ręce łamiąc, rwiąc włosy z głowy. Nawet górnicy u tryumfalnej bramy, wszystko młodzi, silni i odważni młodzieńcy, potracili głowy. Wszystkich odbiegła przytomność umysłu — wszystkich prócz jednego!

Ulrych Stein, gdy tylko niebezpieczeństwo wzrokiem i myślą objął, natychmiast ojca, dziewczynę i kupiących się towarzyszy na boki odtrącił i w okamgnieniu na dół z terasu skoczył. Trzema szalonymi skokami dostał się do mostu, stanął przed nim i rozpaczny krzyk Marty zapóźno już za nim pobiegl. On się naprzeciw rozszalałych koni w tej chwili właśnie rzucił, za cugle ujął. Zestraszony w nowy sposób, wspięły się, dęba stając, a potem do biegu znów się gwałtownie zerwawszy, z ręki mu się wyrwać, lub jego ze sobą pociągnąć chciały.

Chciały — ale on niechciał... Każdy inny, mniej silny, musiał by był albo cugle puścić i w bok skoczyć, albo powleczonym i stratowanym przez nie zostać. Potężne szarpnięcia i nagle przykrócenie cugli sprawiło, że jeden ze spienionych rumaków padł, i pociągnął za sobą drugiego. Powóz stanął.

Wtedy on w okamgnieniu przy karecie się znalazł i drzwiczki jednym szarpnięciem otworzył. Wyobraźnia jego przedstawiała mu w tej chwili kobietę zemgloną, bezsilnie na poduszkach powozu leżącą. Stosunków z kobietami klas wyższych Ulrych nie miał: słabość, bezsilność zdawała mu się ich konieczną właściwością i podług tego przekonania chwila, w której śmierć zagląda w oczy, musiała stawać się dla nich omdleniem, stanem bezwiednego poddania się rzeczy okropnej. Ale tu ujrzał nagle rzecz zupełnie inną. Młoda p. Berków stała w karecie, obiema rękami kurezowo się trzymając poręcz przedniego siedzenia. Nie zamknęła oczu — nie! Szeroko otwarte, patrzyły w stronę przepaści, w której zapewne byłaby za minut kilka znalazła straszliwy koniec podróży. Postawa jej zdawała się jednak wykonać, że nie była by się oddała śmierci tak łatwo: że zamiarem jej był skok w chwili już ostatniego niebezpieczeństwa, w którego głębie dla tego snadź patrzyła!

A działo się to w milczeniu najgłębszem. Ani poprzednio, ani teraz nie usłyszał Ulrych żadnego głosu, krzyku żadnego wychodzącego z karety.

Szybki jak myśl, objął kobietę ramieniem silnem, i z karety wyniósł, bo konie, tarzając się zaplątane, miały powozem i mogły go teraz jeszcze w parów strącić; pochwyconą prosto na most poniósł i dopiero po drugiej jego stronie posadził. Trwało to ledwie sekund kilka, a przecież wielkie ciemne oczy młodej pani miały czas wpatrzeć się w oblicze człowieka, który tak bohatersko, z taką pogardą śmierci prawie pod kopyta rozbieganych koni się rzucił. I jego oczy objęły również wzrokiem ciekawym szlachetnie piękną, teraz jak marmur bladą twarz tej, która tak odważnie niebezpieczeństwu czoło stawiała, tak dumnie, bez krzyku jednego śmierć byłaby przyjęła. Tymczasem jedwabna jej szata dziwnie miękko owinęła się w koło niego, gibka, delikatna kibić tak u piersi jego wygięła się elastycznie, że wszystko razem sprawiło mu naraz zawrót głowy. Bo nigdy nie dotykał się ślizgich, szeleszczących jedwabi, nigdy nie spotkał takiej istoty ludzkiej, jak Meluzyna w rękę giąć się mogącej.

Posadził ją na kamieniu przy moście i odetchnął. Zacerpnął powietrza w płuca piersią całą.

— Ach! p. Berków! zawołała wtedy ona — p. Berków!

P. Berków!.. To, co panowie urzędnicy na terasie rozmawiając, spokojnie roztrząsali, jemu błysnęło w myśli nagłym objawieniem. Każda inna młoda żona byłaby wyciągając oba ramiona przyzywała ukochanego po imieniu, a ta baronówna Vindig Babe-nau miała dźwięk głosu niemal chłodny, wołając: — p. Berków!

Tak, Ulrich się nie mylił: głos ten drżał troszeczkę, ale tylko wzruszeniem przebytych wrażeń. Zresztą brzmiał niemal chłodno.

Ulrich zwrócił się do powozu, ale teraz już jego pomoc nie była potrzebna. Artur Berków sam wysiadł z karety i na swój znów sposób zdawał się z dziwnym spokojem przebyć katastrofę przyjmować. Gdy niebezpieczeństwo zaskoczyło ich tak nagle, gdy pomiarkować było można, że rozbiegane konie unoszą karete, a młoda pani zrobiła ruch, jak gdyby pragnęła wyskoczyć, on ją za rękę mocno ujął i na siedzenie posadził. — Wyskoczyć, to znaczy umrzeć, może okrutniej niż tam na dnie — rzekł i pokazał ręką parów, a gdy ona po chwili zerwała się znowu i stanęła, uchwyciwszy się rękami podpory, która wśród szalonych rzutów karety pomagała jej utrzymać się na nogach, on w milczeniu rękę wyciągnął, przegradzając nią młoda swą żonę od drzwi, na stronę przepaści wychodzących. A z tej strony właśnie siedział on, ale wzroku tam nie puścił, nie gruntuwał nim głębi jak kobieta, a przeciwnie, zasłonił sobie oczy ręką. Ze był przytem bardzo błąd, że leżał niemal w tył, na poduszki powozu głową rzucony, jego mógł być był Ulrich wzięty za zemglonego. Ale nie: był przytomny do ostatka, i tylko do ostatka zdawał się być w obec śmierci tak chłodno obojętnym, jak poprzednio w obec życia.

Teraz przystanął na moście, o poręcz jego lekko ręką wsparty; i tak stał blady — to jest odrobinę bledszy niż zwykle — bez najmniejszego śladu wzruszenia, nie wydając go przynajmniej choćby jednym drgnięciem ust, lub powiek. Czy wzruszenia tego wcale nie doznał, czy je tak szybko i mocno opanować umiał? było rzeczą ciekawą. Jak przed chwilą na śmierć, tak teraz patrzył się na wybawcę swego zimno spokojnym spojrzeniem.

Pomoc, teraz już do pewnego stopnia zbyt, zjawiała się przecież w postaci kilkunastu osób. Dwa-dziesięć rąk wyciągało się razem, aby leżące na ziemi konie podnieść i zaprzęgi do porządku przyprowadzić, wyręczając stangreta teraz już oprzytomiałego. Urzędnicy zarządu otoczyli tymczasem młodą parę, niosąc słowa współczucia, powinszowań, ubolewań i w ogóle wyrażen najrozmaitszych uczuć. Wyczerpano cały arsenał przypuszczeń i zapytań, jak do tak wielkiego nieszczęścia przyjść mogło i kto tu jest naj-

winniejszym: stangret, konie, czy wreszcie strzały? Młody p. Berków spokojnie tego przez chwilę słuchał, lecz zaraz podniósł głowę i rzekł: — Proszę panów, dajmy pokój temu wypadkowi. Był przykry, lecz skończył się szczęśliwie... Żona moja i ja, zdrowi jesteśmy. Za współczucie panów bardzośmy wdzięczni, ale chcemy już jechać do domu, skoro można.

Chciał żonie ramię podać, aby ją do powozu doprowadzić i już ozwał się: — Proszę cię Eugenio... gdy spostrzegł że ta stoi zajęta, wzrok szukający w koło obracając. — A... ozwał się wtedy — gdzie jest nasz wybawca? Zapomnieliśmy o nim...

— Zapomnieliśmy o nim... powtórzył p. Dyrektor nieco zawstydzony. — Był to Stein — dodał — Ulrich Stein. Gdzie jesteś Ulrichu!.. Ulrichu!..

Nie było odpowiedzi, ale Wilberg, którego czy romantyzm tej sceny, czy bohaterstwo Steina ujęło, darował mu od razu nawet pogardę swoich wierszy, to nawet, że przed chwilą chciał niegrzecznie fraki panów urzędników kurzem pokryć, i zawołał teraz żywo: — Stein jest tam oto, jużem mu mężną jego rękę — uściśnął...

I pobiegł szybko w stronę młodego górnika, który się natychmiast oddalił, skoro tylko rzesza urzędników obstała podróżnych. Stał teraz pod drzewem, opierając się o nie.

— Steinie... wołał Wilberg, nadbiegając, ale nagle urwał. — Co ci jest? Ach! krew... ramię jesteś... Ach!..

Stein walczył w tej chwili z zawrotem głowy i niemocą, która mu powieki przyrywać chciała, jak gdyby miał zasnąć, ale na głos Wilberga, na dotknięcie jego ramienia, które objąć i podtrzymać go chciało; nagle wróciła mu opuszczająca go przytomność. On mdlejący! on ratowany z omdlenia!.. Na samą myśl o tem harda natura tego człowieka wzburzyła się, krew zabarwiła lica przelotnym rumieńcem, czy wstępu, czy gniewu. Złożył rękę w pięść i przycisnął ją sobie ranę, którą miał z boku czoła, już pod włosami i z której krew płynęła. — Draśnięcie — rzekł i dodał prawie dziko. — Nie mi nie jest, nie mi nie będzie... gdybym miał tylko chustkę jaką!..

Wilberg szybko ręką do kieszeni sięgnął, ale w tej chwili szelest jedwabnej, długiej sukni zaszumił, po za nim. Młoda pani Berkow to była; nie wymówiwszy słowa wyciągnęła rękę i podała Steinowi swoją chustkę; płatek batystowy z kosztowną koronką dookoła. Było to coś jak obłoczek biały: mglisty, wonny obłoczek i jakkolwiek baronówna von Vindeg nigdy dotąd nie znalazła się w potrzebie ratowania rannych, tamowania krwi, niemniej prosty rozsądek powinen jej być powiedzieć, że kawałek przejrzyściej tkaniny, nie tu pomódz nie może. Ale pod jakimś popędem uczucia podała go — pragnęła osobiście coś dla zbawcy swego zrobić, podziękować mu — i podała.

On, on o wiele praktyczniejszy, o wiele więcej wiedzący, że tu potrzeba innego kompressu, przyjął przecież te szmatkę delikatną, pochwyił żywo jak rzecz upragnioną. Sztydzący tak zawsze z sentymentalności klass wyższych, tak pogardliwie patrzący na elegancye, traktujący to wszystko z namyślnym gniewem — on hardy, dziki prawie górnik, ujął z uniesieniem wdzięczności płatek cieniuchny i spojrzenie jego dziwnie ułagodne, miękkie, dziękujące zbiegło się ze wzrokiem młodej pani, ze wzrokiem też pełnym troskliwego zajęcia i tklivego wyrazu wdzięczności.

W tej chwili krew sącząca się z rany kroplami tylko, rzuciła się mocniej i popłynęła dziurkiem.

— Dziękuję Wielmożnej Pani — ozwał się w tej chwili głos starego Steina. Dziękuję pokornie, ale nam się to na niewiele przyda. — Stój chłopcze dodał i opasując wpół syna lewem ramieniem, prawą ręką wydołwał z kieszeni grubą ale jak śnieg białą

i aż szklano wymaglowaną chustkę płócienną, którą delikatnie przyciskając, do czoła syna przyłożył.

— Czy rana głęboka — zapytał Artur Berków który w tej chwili zbliżył się z towarzyszącym mu orszakiem urzędników. Głos jego był chłodny i nie drgnął w nim najmniejszy ton uczucia, ale miał on jakiś dźwięk metaliczny, który mimowoli uderzał. Człowiek zdawał się zmęczoną, na wszystko obojętną istotą, przeżyta przed czasem, przecież w głosie kryło się coś męzkiego. Organ jego był przytem z natury przyjemny, i mile w ucho wpadał; ktoś kto by słyszał tylko Artura Berkow mówiącego, i obrócił się potem, aby go zobaczyć, doznał by zawodu i mógł gniewnie ruszyć ramionami, mówiąc sobie: myślałem, że to jakaś piękna osobistość męzka, a to — paniczkowyty zdechłaczek...

— Czy rana głęboka? powtórzył Artur Berków, występując z pomiędzy urzędników. W tej chwili Ulrich Stein niecierpliwym ruchem wysunął się ojcu z pod ręki i wyprostowany stanął. — Nic mi nie jest i nic nie będzie — odparł zimnym, dumnym głosem. Dumny, prawie wyniosły wzrok spotkał się z oczyma młodego pana i dwa te spojrzenia złamały się o siebie, na ten sposób przecież, jak blask płomienia łamie się o lód. W oku Ulricha duma pałała, w oku Artura Berkow była lodowata. — Przyszedł tu wam doktora — rzekł. — Podziękowanie odkładam na później. — Proszę cię Eugenio.

Podał rękę młodej żonie i poprowadził ją w stronę powozu; odchodząc obejrzała się przecież za siebie. Na twarzy miała widoczny wyraz niezadowolenia. Znać niekontenta była z zimnego obejścia się męża z ich zbawcą.

— Wszystko poszło nieszczęśliwie! zawołał Wilberg, gdy panowie urzędnicy, odprowadziwszy młodą parę do powozu, zostali pożegnani przez p. Berkowa junior chłodnym: Dziękuję panom... Tylko dyrektorowi rękę podał, wszyscy zresztą musieli się zadowolić skinieniem głowy, gdy wymawiał: — Dziękuję...

Inżynier uśmiechnął się patrząc na jasnowłosego poetę. — Tak, wszystko poszło nieszczęśliwie rzekł, wieńce kwiatów i wiersze pańskie poszły w kął, ale za to masz pan przedmiot co najmniej do balady: para nowożeńców i śmierć groźna w łonie przepaści... poświęcenie niespodziewanego zbawcy, który ciska się pod konie i unosi piękną panię w omdleniu... Ale prawda omdlenia nie było. Nic to przecież nie szkodzi i masz pan otwarte pole dla swej muzy: wzruszenie górnika i wdzięczność młodej pani... Można wykroić z tego dramat, nawet tragedję, bo przecież płynęła i krew...

— Ach — wykrzyknął Wilberg — ten Stein mimo swego poświęcenia jest i pozostanie na zawsze niedzwięciem. Kiedy mu pani Berków podała własną swoją chustkę do otarcia krwi, czy jej rzekł choć słowo podziękowania? A była wtedy tak anielska piękną!.. Ale swoją drogą natura to jakaś, z obrzymami spokrewniona. Koń go tak pięknie palnął kopytem, że mu głowę rozciął, inny padł by od razu na ziemię jak nieżywy, a ten nie!.. Powala konie, roztwiera karete, wynosi na rękę kobietę, jak piórko jakie i dopiero po tem wszystkim spostrzeża że jest ranny: idzie się oprzeć do drzewa... Kto drugi dokazałby coś podobnego? Krew polała mu się też potem — dziurkiem.

— Przesądny człowiek mógł by z tego wypadku złą wróżbę dla nowożeńców wyciągnąć — odezwał się kassyer, człowiek już niemłody i mizerny, widocznie cierpiący na wątrobę. — Nieprzyjemna rzecz na drugi dzień po ślubie...

(Dalszy ciąg nastąpi).

MAREK

POWIEŚĆ

przez

Jerzego de Payrebrunés

przekład z rancuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg)

Teraz Marya uczuła się już zgubioną bez ratunkul. Zrobiła jej się zimno i oglądała się błędnym wzrokiem w koło siebie, patrząc czy nie mogła by jako umrzeć i od razu skończyć z okrutnym cierpieniem, aż nagle gwałtowna reakcja podniosła ją z miejsca. Zerwała się od stołu z okiem miotającym płomienie: chciała jechać, biedo do Andrzeja i krzyknąć: — Tyś mój! mój jedynie! Nie opuszczaj mnie, nie jedź, nie pozwalam ci na to... Usłyszała przecież w tej chwili kroki syna i siadła znowu, kryjąc twarz w rękach.

Marek siadł przy niej: — Mamo — rzekł, opierając jej głowę na ramieniu — wiesz żem jest silnie przywiązany do Alicyi i chcę, aby z czasem była moją żoną. Otóż lękam się o nią teraz... lękam się Andrzeja.

— Myślałam o tem — jęknęła Marya. Słowa Marka zdjęły z niej jeden choć ciężar przyniatający: mogła boleś własną ukryć pod zmartwieciem matki o syna.

Czy on nie dla tego przyszedł teraz do niej z wyznaniem? Przytulając się jej do ramienia, ozwał się znowu: — Czy nie sądzisz, mamu, że powinnaś jechać tam natychmiast?

Marya zdrząła lekko: — I cóż tam zrobimy moje dziecko? rzekła słabym głosem.

— Zrobimy to, że będziesz jeszcze mogła powiedzieć Alicyi, aby nie pozwoliła Andrzejewi jechać ze sobą. Powiesz, że jej tego zabraniam, że pożałuje ciężko, jeżeli mnie nie usłucha.

— I cóż jej zrobisz, biedaku?

— Już ona wie... zapowiedziałem jej...

— Ależ oni wyjeżdżają dziś wieczorem...

— Poślijmy im depezę.

— Lecz do kogo? P: Rattier gniewa się na mnie o coś...

— Do Andrzeja... pod jakimkolwiek pozorem...

Marya walczyła z szaloną chęcią zawołania do syna: — Dziękuję ci!... Serce jej zaczynało w niej bić znowu. Oh! gdyby mogła zobaczyć jeszcze Andrzeja! Nie pojechał by niewątpliwie. Marek natychmiast ubrał się i wyszedł, wysłał do Andrzeja telegram, który ułożyli wspólnie z matką: — Potrzeba mi objaśnienia pańskiego w ważnej sprawie, nie wyjeżdżaj pan wprawdzie; przyjeżdżam jutro...

W dwie godziny potem Marya wsiadała do wagonu na stacyi kolei Orleańskiej. W chwili, gdy już miano wyruszyć, siły opuściły ją i chciała zostać, ale syn nie pozwolił na to: Odjął sobie z szyi jej ręce i pożegnał ją. — Do widzenia... rzekł uśmiechając się do niej kłiwie i odszedł.

Gdy przecież przestąpił prog dworca kolejowego, zachwiał się na nogach. Był to mimo wszystko chłopiec jeszcze, a nie mężczyzna i Szymon musiał go prawie nieść do powozu. Tam, gdy już nikt obcy widzieć go nie mógł, rozplakał się jak dziecko. Pochylony na pierś starego łaj gorkie lzy żalu za skończonym już teraz szczęściem swej młodej przeszłości. Wszystkie jej radości odlatywały w tej chwili od niego...

VII.

U Rattierów był ruch, jakgdyby w dzień wesela. Sługi, biegały jak zwaryowane, we wszystkich pokojach leżały porozrzucane stroje, stały pootwierane kufry i pudła. Szwaczki szyły jeszcze: obszywano staniki koronkami, dodawano kokardy do kapeluszków, mieszczono je na pantofelkach. Od góry do dołu słychać było w całym domu jedno nieustające *frou — frou*. Alicya biegła śpiewając z piętra na piętro i znosiła coś ustawicznie, Rattier w jadalnym pokoju na dole wiązał z kawalerską uprzejmością pudełka szpagatem, gdy naraz ozwała się do niego żona z oświadczeniem, że rzecz jest niemożliwa: nie zdąży i nie pojedzie dziś wieczorem.

— Nie bój się — odparł małżonek — wszystko będzie gotowe na czas.

— Wyjawszy mnie — zawyrokowała pani — patrz, czy mogę myśleć o jechaniu?

Nieład jej toalety świadczył o tem, ale jakkolwiek mąż wiedział ile czasu potrzeba, aby się mogła ufryzować, upudrować, ustroić należyte, nie zwątpił jednak. — Pospieszysz się, zdążyysz — rzekł.

Ale p: dyrektorowa protestowała: — Dla czego mam się spieszyć i jechać źle ubrana, zmęczona, ledwo żywa? Nie pojedziemy dziś, to pojedziemy jutro...

— O... ozwał się nagle Andrzej de Terris, który wchodził tu teraz, jak do siebie i teraz zjawił się obok małżonków. — Dla mnie nie jest to rzeczą obojętną. Wyrządziłabys mi pani wielką przykrość, gdyby wyjazd nasz został odłożony do jutra.

— Ależ kochany panie...

— Stanowiło by to dla mnie ważną różnicę; zależy mi na tem wiele, abyśmy mogli jechać dziś...

Rattier spojrział na niego; nieznaczone skinięcie odpowiedziało spojrzeń i p: dyrektor podniósł naraz głos stanowczy. — Pojedziecie — rzekł — chcę, abyście pojechali i musi tak być... Cóż u diabła, aby nie można na czas nakłasić na siebie galganków...

— Co się stało? zawołała Alicya, wbiegając na grzmiące przemówienie ojca.

— To twój słodki papa tak tu zarządza — odpowiedziała jej matka, ale p: dyrektor nie był w humorze pobłażliwym. — Proszę się ubierać i spieszyć — zawołał. — Jedziecie dziś nieodmiennie — dodał zwracając głos do córki, a żona uczuła, że nie ma już rady innej nad to, aby się zaczęła ubierać co prędzej. Mąż, gdy chciał, umiał przeprowadzić w domu swoje zdanie. Złe języki w miasteczku dowodziły, że nie podobał temu w rzeczy najważniejszej, ale to może dawało mu teraz nad żoną moc, której w potrzebie używał ze skutkiem szczęśliwym, jak świadczyło o tem przeobrażenie Alicyi, która nie tylko nosiła już teraz suknie z ogonem i piętujące się koki dorosłej panny, ale wyjeżdżała do wód w charakterze młodej narzeczonej. Matka musiała niemniej to ścierpieć i przystać na los osoby, która wkrótce będzie mieć zięcia i zamężną córkę!

Chociaż co do tego małżonek nie byłby tak łatwo doprowadził rzeczy do skutku, gdyby gwałtownie objawiona nieprzyjaźń dla dawnej przyjaciółki, nie była mu w tem dopomogła cudownie. Zemścić się na Maryi za to, że doktor mógł ją uznać za piękniejszą i wiele młodszą od niej, zdawało się matce Alicyi rzeczą prostą i naturalną. Nie pojmując takiego uczucia, jakim Marya kochała Andrzeja, wyobrażała sobie, że ich rozdzielanie się, będzie kosztować Maryę mniej więcej tyle, co ją samą wyjazd ostatniego poborecy podatków. Że przecież dla pięknego doktora czuła się usposobioną nieco kłiwiej, niż dla wszystkich swych poprzednich adoratorów, że wreszcie nie było w miasteczku nikogo, któryby mógł zająć to miejsce, gniew jej na Maryę był niemal wściekły, bo czyż nie przez

nią zostawała nagle kobietą opuszczoną, kobietą, o której ludzie przestają już mówić? Nastąpiła przecież chwila zwrotu, zastanowienia się. Andrzej występował widocznie jako konkurent i otwierala się przed nią przerażająca perspektywa, w głębi której widziała ognistemi głoski wypisany wyraz: babcia! Ale teraz czuł już Rattier, aby bieg rzeczy nie uległ zmianie; aby dążyła do końca w sposób cichy i łagodny, postanowił nagle ziszczyć najmiłsze, a dawno w sercu noszone marzenie żony: dawał jej weale wspaniałą sumę na podróż kilku miesięczną, czy w Pireneje, czy nad morze: wszędzie gdzie jego ukochana połowica zechce zwrócić kroki, byle tylko Alicya występowała obok niej jako dorosła już panna, a Andrzej towarzyszył im w charakterze narzeczonego.

Aby przecież Alicya skończyła już lat szesnacie i wyglądało się dostatecznie pewne delikatne położenie, w które Andrzej wedle wyrażenia się Rattiera zaplątał się nieostrożnie, podróż miała trwać do późnej jesieni. Andrzej przystał z radością na pomysł, dla niego najszczęśliwszy, Alicya zaś i jej matka szalały z uciechy.

P: dyrektor postanowił też nie dać rzeczom popuścić się przy końcu i energicznie jego życzenie, musiało zostać wysłuchanem. Sam zamykał kufry i był gotów raczej sam zaprzędzić się do powozu, niż dopuścić, aby powóz ten nie wyruszył z miejsca o oznaczonej godzinie. — Prędzej, prędzej... wołał na wszystkich, ale szczególnież też na żonę, której postanowił w końcu pomagać przy toalecie. Kwały się z pośpiechu tasiemki, pękały guziki, trzeba się było rozbierać, aby przyszywać na nowo, ale dosięgnął zamierzonego celu i odetchnął, gdy ujrzał nareszcie p: dyrektorową w kapeluszu na głowie. Wprawdzie kobieta łamała ręce: najważniejsze sekreta na świętość wiecznej wiosny musiały pozostać nie użyte, prztem jęczała na migrenę. — To nic, to nic — mówił mąż — w drodze ci to przejdzie.

— Proszę cię chodź — dodał, popychając ją ku wyjściu.

— Flakonika! mgło mi...

— Zdaje ci się. Myśl o czem innym, a ustanie. Alicyo! idź, poszukaj flakonika matki. Ale gdzie jest p: de Terris? Gdzie się podział?

I puszcżając żonę na ganku, żywo zawrócił w głąb domu, gdzie zmrok już się rozpościerał. Była blisko ósma, Andrzej, stojąc przy oknie, czytał depezę, a raczej dumał patrząc w nią. Jakies myśli niespokojne poczęły oblegać mu umysł; poruszyło je serce, nagle wzruszone. Wachnął się, coś go przyniatało i czyniło niewypowiedzianie smutnym.

— Gdzie jest p: de Terris? wołał Rattier, przechodząc szybko koło niego i nie widząc go.

Andrzej nie odpowiedział, a tamten oddalił się, aby go szukać w innych pokojach.

— Niech ich licha perwie — kłął — spóźnią się na pociąg...

W tej chwili Alicya wbiegła do salonu, sprawiając swoją długą toaletą szelest bardzo przyjemny. — Światła! zawołała — światła! nie mogę znaleźć na toalecie flakonika mamy...

Andrzej się odwrócił i spojrział na nią. Była śliczna w małym, okrągłym kapelusiku, od którego splotywały się długie welonki białej gazy. Wysoką, wysmukłą, elastyczną jej kibić wybornie obcisła kostium podróżny z blade popielatego kaszmiru. Tunika lekko bufowała się na biodrach a powłóczysta suknia wdzięcznie się drapując poniżej, opadała ku ziemi. Pośpiech rozrzucał policzki, czarne oczy świeciły, usta pełne, jak krew czerwone, rozchylając się pozwalały dostrzedz błysk białych ząbków. Była jak jakiś kwiat pełny i barwisty, który by tylko co się rozwinał i wydawał woń mooną. Andrzej uczuł się nagle jak gdyby upojony tą wonią. — Światła mi trzeba! powtórzyła tymczasem Alicya, a on już był przy niej, i pociągnął za sobą do drugiego pokoju, gdzie gaz się palił. Tam zwinawszy depezę odebraną od Maryi, przysunął ją do płomienia, a potem zapalił nią świecę.

— Spiesz się pani! zawołał, podając ją Alicyi.

— Już bym chciał, aby to był nietylko wyjazd, ale powrót....

— Nakoniec! zawołał Rattier, gdy po wyruszeniu podróżnych, wrócił do domu i zamknął za sobą drzwi.

— Nakoniec — powtórzył głosem człowieka zmęczonego, lecz zaraz potem zatarł ręce z uśmiechem i dodał. — Jeżeli moja córka zostanie p: de Terris, winna to tylko mnie!

Tymczasem powóz, przejeżdżając koło kraty parku, musiał się zatrzymać. Doktor i Serafin czekali tam na podróżnych i zastąpili im drogę. Doktor był oburzony dowiedziawszy się, że Andrzej towarzyszy wyjeżdżającym, bo nie można się już było mylić, co do stosunku jego względem Alicyi. Choć nie gniewał się wcale, że tym sposobem wdowa zostaje wolną, ale nieczemność postępków Andrzeja wprawiała go w gniew namiętny. Całe miasteczko podzielało to uczucie, opinia publiczna obruszyła się na zmiennika.

Doktor, zbliżając się do powozu od strony Andrzeja, uklonił się i ironicznie życzył podróżnym szczęśliwej drogi, aż naraz zmieniając przedmiot, zapytał Andrzeja czy co nie wie o p: Delange? — Nie była zdrową odjeżdżając, i jestem o nią niespokojny — mówił. — Lecz pan musisz wiedzieć i zapewne wiesz, jak się miewa?

Mówił to głosem dobrodusznym, przecież Andrzej zarumieniał się. — Zapewne jest zdrową — odparł prawie szepcząc z pomieszania.

I przyszła jego świekra zarumieniała się, ale z gniewu. Zaczęła się śmiać złośliwie i rzekła, że pan konsyliarz będzie mógł wkrótce dowiedzieć się o zdrowiu tak dla niego szacownem, gdyż piękna jego pacjentka wraca niedługo.

— Jak niedługo? zapytał doktor patrząc w oczy Andrzejewi.

— Jutro — odpowiedział po za nim Serafin.

— Widzisz pan, kochany doktorze, że nie spokojność twoja utuli się wkrótce — ozwała się Rattierowa, która postanowiła sobie mieć zimną krew, na jakiej zbywało Andrzejewi. A ponieważ rozjeżdżamy się tłumnie, nie będziesz pan miał żadnej przeszkody i możesz zalecać się do wdówki — dodała.

— Już kiedyś miałem zaszczyt powiedzieć pani, że nie zalecam się nigdy do kobiety, którą szanuję — odparł doktor surowo.

P. dyrektorowa rozśmiała się złym śmiechem niepożyciwej złości. — Ochl kochany doktorze, nie gniewaj się tylko — zawołała — p: Marya jest przecież kobietą nie związaną żadnym obowiązkiem i można, nie ubliżając wcale jej enocie, konkurować o jej serce...

— Wiem o tem i może ośmielę się aż do podniesienia mych chęci tak wysoko — odpowiedział doktor, prostując się dumnie, a głos brzmiał prawie groźbą gdy dodał. — Gdybym został kiedyś dość szczęśliwym, aż do pozyskania praw nad sercem takiej kobiety zmiażdżył bym każdego nieczemnego mazgaja, któryby pozwolił, aby w jego przytomności wyrażano się o niej lekko... Do widzenia p: de Terris... do widzenia paniom.

Odwrócił się i poszedł do parku, a Andrzej został blady jak mur. — Jedź! krzyknęła na stangreta Rattierowa, drżąc z gniewu.

Serafin został sam i w smutnym milczeniu wracał do domu, który był kiedyś domem Maryi. — Już tu jej nie będzie nigdy... myślał — nigdy! Andrzej wprowadzi do jej dawnego mieszkania, do pokoi, pełnych jeszcze wspomnień o niej, kobietę inną... Ochl ja wtedy ucieknę... bo nie wytrzymał bym i popełnił jaką zbrodnią. Dusza moja jest może tak potworna, jak ciało, i nie wytrzymał bym... Czuję już, że nienawidzę tego człowieka, który w każdym razie jest moim dobroczyńcą i któregokolwiek dnia — zabił bym go.

— Ach — szeptał sobie dalej, idąc. — Widzę ją w chwili, gdy przebywała raz pierwszy próg tego domu. Już nie było szczęśliwego uśmiechu młodości na jej ustach cudnych; tamten drugi, ten jej mąż nędzny, już go spłoszył na zawsze, jakże przecież była anielsko piękna wtedy! Boże! Boże! jak była piękna! Co za powab w spojrze-

niu błękitnych oczu, co za pierścienie złociste koło białego, czystego czoła. A potem, potem, gdy jej się urodziło dzieciątko, gdy zaczęła śpiewać mu, kołysząc... Nie mogłem nic robić... — szalałem na ten głos, na jego muzykę niebiańską. Wtedy była prawie szczęśliwą — widziałem to... wypiękniała też jeszcze: wyglądała jak Madonna ze świętem Bambino. Ach! czasem mi tak serce tajało, żem płakał z radości, patrząc na nią. Może było by mogło tak być zawsze? — Było już lato, gdy oto róża biała płoni mi się pod oczyma... widzę ją, jak rumieni się, jak jasnowłosa główka pochyla się, gdy on patrzy. Zdaje się że nie słucha, gdy jej co mówi, ale wiem, że słyszy, wiem, że bierze słowa te w serce... Oh! człowieku? takie serce posiąść, taką pięknością zawładnąć i przesyć się, znudzić, zmienić. Ach! Ach! p: de Terris, trzeba ci zmian, nowości, wdzięków świeższych, lecz nie liczysz się wcale z tem, że ja tu jestem! A gdybym tak w czasie wesela wyprawił ci fajerwerk? Co? Fajerwerk to dobra myśl. Zaświecił bym twojej pannie młodej i była by to pyszna iluminacja...

I biedny garbus, rozszalały żalem nad ukochaną kobietą, oburzeniem nad niepożyciwą słabością zmiennika, biegał po pokojach domu, w którym pozostał teraz sam jeden i który zamieszkiwały z nim tylko wspomnienia. — Tak — mówił sobie — tak! oddałeś mi klucze, zwierzyłeś mi straż tych murów i będę ich pilnował. Nie puszczać tu tego, co by było zniewagą przeszłości. Spalę dom, zamienię go w kupę gruzów, ale nie będzie tu nigdy panować kobieta inna...

— Po tamtej — ta... o ironio losu! Ale ludziom trzeba wciąż nowości, trzeba świeżego k wiatu... oh! spalę ten dom...

Egzaltacja biedaka dochodziła niemal do szaleństwa. Była to gorączka, był to ogień w żyłach. Od chwili, gdy Andrzej musiał mu już powiedzieć, że wyjeżdża z Alicją, prawie nie nie spał, a nie był to organizm mocny i teraz też uniesienie, którego doświadczał, zwyciężyło go. Padł nagle nieprzytomny, zemglony.

Gdyby Marya była chciała takiej zemsty, jaką marzył ten biedak, takiej lub innej, była by ją miała niewątpliwie. Mogła by wstrząsnąć boleśnie życiem Andrzeja, zwalić na niego góry kłopotów, ale ona nietylko gardziła takimi środkami, ale byłaby z krzykiem wyciągnęła ręce na widok najmniejszego niebezpieczeństwa, któreby mu grozić mogło. Przybyła do miasteczka pociągiem nocnym, przybywającym o północy. Nikt jej nie czekał na stacyi i to był już cios śmiertelny, przybyła sama do swego samotnego domu i kto wie, czy tej nocy jeszcze nie poszła pełna rozpacz słuchać u drzwi domu Andrzeja, żali on jest tam jeszcze? Rano dowiedziano się w miasteczku o jej przybyciu i wiele osób pospieszło ją odwiedzić, ale nie przyjęła nikogo, nawet doktora Galpeau, który był tam jednym z pierwszych. Przeprosiła wszystkich, tłumacząc się znużeniem podróży, z której nie wypoczęła jeszcze. Po Serafina poszła jednak.

Czekając go, chodziła rozgorączkowana po pokoju, chodziła tam i napowrót, a chód ten szybko nie okazywał bynajmniej zmęczenia, a przeciwnie to nieustanne krążenie wśród czterech ścian zdradzało raczej hamowaną chęć puszczenia się gdzieś, gdzieś daleko, gdzieś, kędy pragnęła by lecieć. Ale oczy splakane razילו światło, zapuściła wszystkie strony, franki i Serafin wszedłszy, zatrzymał się na progu tej ciemności. — Wejdz pan — odezwała się łagodnie, a on postąpił kilka kroków naprzód.

— Okazałam się natrętną, kochany p: Serafinie — zaczęła Marya. — Ale daruj mi to. Jesteś tak dobrym, że ludzie nauczyli się nadużywać tej dobroci.

— Jestem na rozkazy pani...

Ona milczała chwilę jakąś, wreszcie zapytała, czy p: de Terris nie zostawił czegoś dla niej — jakiego słówka?

— Pani przebaczy... zaczął Serafin, schylając głowę i wstydząc się w duszy za Andrzeja, lecz Maryi zdawało się, że chce jej oddać list i żywo

postąpiła, wyciągając rękę. — Pani przebaczy — powtórzył tymczasem Serafin — ale p: de Terris wyjeżdżał nagle i nie miał czasu pisać; kazał mi tylko przeprosić ją, że nie podobna mu było o późnić wyjazdu. Musiał... koniecznie mu było potrzeba wybrać się w tę drogę natychmiast, ale napisze wkrótce...

Urwał, bo zabrakło mu głosu.

— I... nie już nadto? nie więcej? pytała Marya. Drżała.

Serafinowi kręciło się w głowie. Byłby uciekł, gdyby nogi nie odmawiały mu posłuszeństwa. Ale były jak przybite do miejsca, a Marya tymczasem czekała jeszcze, patrzyła na niego. Usiłował rozpaczliwie znaleźć jakieś słowo pociechy, zdolne ugoić nieco tę boleść, gotową już wybuchnąć jawnie i nagle zawołał: — Ach! prawda... zapomniałem! P: de Terris kazał mi dać pani adres...

Nakreślił go szybko na kawałku papieru, który znalazł przy sobie, podał Maryi i uciekł natychmiast.

— Wypędzi mnie... szepnął sobie. — Ale tem lepiej

Marya zrozumiała prawdę: Serafin kłamał. Rozpacz jej była tak ogromna, że nie już powiększyć jej nie mogło, jednak to, że ktoś obcy dawał jej z litości adres Andrzeja pogłębiło niewymownie ranę. Przyciskała sobie serce obu rękami i zaledwie zdolną była oddychać.

A jednak cios jej nie obezwładnił, brakowało jej sił, ale nie odwagi. Miłość, jaką miała dla Andrzeja, nie dała jej w to uwierzyć, że niewdzięcznym jest, że jest nieczemnym. Chciała widzieć w jego postępkach słabość. Pociągnięto go, podbito, uległ wpływom żręcznych kobiet, wpływom które ona mogła i chciała zwalczyć. Gdyby nie syn, nie uwaga na niego, była by w tej chwili lekceważyła nawet dobre imię swoje. Byłaby pojechała za nim. Oh! i jak jeszcze. Byłaby się rzuciła choćby pomiędzy tłum, byle odbić i wydrzeć z rąk niepożyciwych swoje dobro, swój skarb! Coby znaczyły dla niej mowy ludzkie!... A co za radość, co za zachwyt potem odzyskać go, przebaczyć mu i mieć go na zawsze, na zawsze przy sercu swoim!

Już rano napisała do niego list, a teraz położyła tylko na kopercie adres, którego jej brakowało i wysłała natychmiast na pocztę. Nie był on długi; była na to zbyt wzruszona. — Przyjechałam — pisała — a tyś wyjechał właśnie. Pojadę za tobą, bo chcę cię widzieć i dowiedzieć się z ust twoich prawdy. Tyś już jest mój i nie doprowadzaj mnie do szaleństwa. Przyjeżdżaj, przyjeżdżaj ukochany mój, proszę cię o to, błagam — przyjeżdżaj co najprędzej. Jeżeli cię nie będzie po czterdziestu ośmiu godzinach, ja jadę do ciebie. Muszę cię widzieć... muszę...

— Ach — szeptała, patrząc na list, który odnosiła służąca — czekać dwie doby, co za męczarnia...

Na trzeci dzień Andrzej de Terris przyjechał pociągiem rannym. Nie miał ze sobą rzeczy żadnych i pieszo ruszył ze stacyi do miasteczka, to też Marya, która czekała niecierpliwie przy bramie parku, ujrzała, że nie ma go w omnibusie kolejowym. Nie mogła spokojnie powrócić do domu — godzinę, czy dwie błąkała się między drzewami i zmęczona, znękana na ciele i duchu, ledwo że zdołała przywlecz się z powrotem do domu, gdzie ujrzała nagle Andrzeja. Siedział w salonie i palił cygaretkę. — Jestem na rozkazy pani — rzekł, podnosząc się, gdy weszła.

— Andrzeju! Andrzeju! moji krzyknęła i rzuciła się ku niemu z wyciągniętymi rękami.

Pozwolił jej pochwyć się i powtórzył: — Jestem na rozkazy pani... Kazałaś mi przyjeżdżać i stawiam się.

— Andrzeju! Czy to do mnie tak mówisz? Spojrz na mnie, oh! spojrz... Ty wiesz czego chcę od ciebie... Chcę cię mieć i teraz, gdy mam już, nikt mi cię nie wydrze! Będą mocniejszą, niż twój szal — niż to nastanie na ciebie, któremu uległeś. Ale Andrzeju, mówże co!... odpowiadaj mi! Przez litość nie stój tak, jak drewno!

Wspomnij sobie na przeszłość, wspomnij co uczyniłam dla ciebie, czem byliśmy sobie... Czyż takie rzeczy zapominają się? Czy taka miłość, jak nasza — taka gorąca — taka długa może nagle zniknąć, rozwiać się w nic? Gdy ci mówiła niegdyś: skorobys przestał mnie kochać... tyś przerywał niecierpliwie. — Co to znaczy Maryo? mówiles — nie rozumiem słów twoich. Na to, a-bym przestał kochać, musielibyśmy, ty i ja, nie być tem, czem jesteśmy. Niestety!... myślałam i ja, że to prawda... a jednak! Andrzej! Andrzej! cóż się zmieniło? Co się stało — z tobą?

— Stało się, żem został niewolnikiem. Mam łańcuch u nogi i muszę i słuchać nakazu: — Wracaj ztamtąd gdzie jesteś, bo ja tak chcę.

— Oh! rzekła Marya, zmuszając się do uśmiechu — jeżeli chodzi ci o to, to przepraszam cię. Musisz mi przebaczyć, ale są chwile, w których rozum odbiega nas.

— Należy też czekać aż powróci...

— Czekać! czyż podobno jest czekać, gdy się przechodzi męczarnie niepokoju — zazdrości?... Po cóż pojechałeś z Alicją?

— Więc zostałem wezwany dla zdania sprawy?

— Tak — odparła biedaczka naiwnie.

— I to się nazywa miłości?...

— To też jest miłość...

— W takim razie przestajemy już rozumieć się. Ale wszystkiemu jestem winien sam. Byłem chłopak młody i pozwoliłem ci zawładnąć sobą — zepsułem cię tak, żeś się stała despotką. Niedolestwo moje doprowadziło rzeczy do stopnia, na jakim są... Nie mogę zrobić kroku, abys nie dała mi uczuć pętki, którą noszę na szyi; zadziergnałaś ją wraz z pierwszem wyznaniem twej miłości, ale nie może tak pozostać dłużej. Powiadam ci otwarcie, że nie chcę, nie powinienem znosić takich więzów.

— O Andrzej! jęknęła biedna i to ty — ty się tak skarżysz?

— Otóż mamy, czegom się spodziewałem. Zatem to ja jestem tyran! ja cię zadreżcam... Bądź szczerą, powiedz wszystko; miałaś już te piękne słowa na ustach...

Ona spojrziała wzrokiem smutnym. — Andrzej! rzekła. — Ty chcesz, abyśmy się podrażnili i poróżnili ze sobą. Prawda? Chcesz tego... Powiedz otwarcie, mam odwagę i mogę to usłyszeć.

Podniósł na nią oczy lekliwie. Cała jej postać zaprzeczała wyrazom, które mówiła. Była prze-rażająco bladą i drżała tak, że brała litość patrzeć na nią.

Zamilkł też, dobroć serca nie dała mu dokończyć dzieła — zadać stanowczego ciosu.

— Milczysz? zapytała biedna kobieta. — Ale pozwól, abym mówiła za ciebie. — Chcesz się żenić z Alicją...

— Gdyby miało się to stać, możesz sobie pozwolić mówić, że to ty — ty sama naprowadziłaś mnie na tę myśl. Nie dziś pierwszy raz zazdrość twoja raczyła się zajmować tą sprawą.

— Nie ja jedna uważałam...

— Plotki istniały od początku i istnieć będą do końca świata. Alicja jest jedyną osobą w miasteczku, której położenie, majątek i wiek odpowiadały by mi, więc ludzie nie mogli zostawić nas w pokoju.

— Ach! jęknęła Marya — rozumiem...

— Położenie i wiek... powtórzyła w duszy głucho i padła w krzesło, opierając się głową o tył, i jak ktoś, któryby umierał, zamknęła oczy. Andrzej opuszczony przez Maryę, nie wiedział co robić ze sobą. Zaczął chodzić po pokoju tam i na powrót; nie chciał wyjść, a lękał się, aby litość nie ogarnęła go, nie zawładnęła nim zbyt mocno, bo milcząca bolesć Maryi wzruszała go mimowoli.

Zegar zaczął bić: uderzył zwolna jedynaście razy.

Ach! słyszeć tak ruch skrzydeł czasu, który u-chodzi i unosi ze sobą szczęście nasze, zabiera je niepowrotnie... Marya czuła odbijający się o serce swoje każdy ten dźwięk, który odmierzał krótką już, a ostatnią chwilę, w której miała jeszcze przy sobie najdroższą jej, najwyżej w życiu ukochaną istotę. Gdy zegar umilkł, ona otworzy-

ła oczy. — Niech że go widzę, póki tu jest, niech że patrzę na niego — mówiła w duszy.

On zbliżył się do niej nagle.

— Muszę już iść, aby trafić na pociąg, który odchodzi wkrótce — rzekł. — Żegnaj cię.

Wyciągnął do niej rękę, ale nie widziała jej. — Już... rzekła — już odjeżdżasz... tak prędko...

Głos jej brzmiał szczególnie, tak, jakgdyby mówiła przez sen.

— Muszę — odparł. Zostawiłem tamte panie w hotelu, same i zakłopotane bardzo. Liczę że wrócę i nie mogę postąpić inaczej...

— Tak... Będziesz tam bawił długo?

Mówiła raczej poruszeniem warg, niż głosem, bo ledwo że było słyhać szmer wyrazów.

On nie mógł znieść wzroku jej oczu i spuścił swoje.

— Bądź zdrów — rzekła mu po chwili — bądź zdrów.

On wtedy pochwycił jej rękę i ścisnął ją.

— Bądź rozsądną Maryo — zawołał — nie niepokój się o mnie. Będę pisywał do ciebie.

Zaczął się bać jej i prawie drżał. — Powiedz mi dobre słowo na pożegnanie — szepnął.

Ona pociągnęła go ku sobie przez ruch rąk, które trzymała w swoich i Andrzej osunął się przed nią na kolana. Wtedy objęła go nagle i bez żadnej lzy, bez najmniejszego łkania przycisnęła tak sobie głowę jego do piersi, jak gdyby chciała, aby serce jej pękło rozbite o niego.

Gdy ręce jej opadły, rzuciła się w tył krzesła i z pewnego oddalenia ogarnęła go wzrokiem namiętnym, a potem cisnęła się nagle ustami na jego usta. — Ostatnie! ostatnie to pocałowanie moje! jęknęła.

On, gdy usta ich rozłączyły się, zerwał się jak szalony i pędem pobiegł ku drzwiom. Uciekał, bo zaczął już tracić siły.

Kochał tę kobietę lat tyle i czuł się kochanym przez nią. Gdy z progu już obejrzał się, ujrzał, że stoi, jakgdyby podniesiona siłą galwaniczną. Zdawała się martwą jak trup, była też trupio bladą, ale oczy świeciły płomieniste. Usta szeptały coś, czego słyhać nie było i on nagle zawrócił, pochwycił ją w objęcia, przycisnął z całych sił do siebie i ucałował kilkakrotnie czoło, na którym zostawił kilka łez.

Kiedy zbiegał ze schodków ganeczku, który wiódł do ogrodu, usłyszał za sobą głuchy łoskot, jakgdyby przewróconego sprzętu, lub padającego ciała...

Ale nie wrócił już, tylko biegł tem szybciej. Uciekał, uciekał, jak gdyby pędzony przez kogoś i odjechał w kilka minut po przybyciu na stacyą.

VIII.

Ludzie się dziwili, że p: Marya mogła wstać z łóżka na trzeci dzień po zemgleniu tak szczególnie długiem, że uważano ją już za nieżywą. Zaraz wtedy, gdy tylko otworzyła oczy, powiedziała doktorowi z uśmiechem. — To nic... tylko serce... on przecież zdawał się bardzo o nią zafasowany dla tego właśnie, że to było serce, którego stan znajdował bardzo niedobrym. Mimo to, p: Marya nie położyła się już do łóżka, i tylko jej powierzchowność uległa pewnej zmianie i stała się jeszcze idealniejszą niż kiedy. Przejrzysta aż białość jej twarzy podnosiła w niezwykły sposób blask błękitnych oczu, które zdawały się teraz ciemniejszymi niż zwykle i większemi. Łagodne zawsze, miały teraz spojrzenie głębsze i wybiegające gdzieś w dal, po za otoczenie swoje. Zatrzymywała je rzadko na przedmiocie bliskim: biegło kędyś daleko, jakgdyby szukając, oglądając się za czemś widzialnem jedynie dla niej. Nie straciła przecież nic z piękności i powabności swej dawnej; uśmiech zachował zwykły urok, wdzięk jej ruchów był zawsze pociągającym i jakgdyby pieszczotliwym. Była jakgdyby otoczona jakimś obłokiem, chodziła niby w nim-

bie, co sprawiały jej sliczne, jasno złote włosy. Krok jej był bez szmeru, głos stał się nieco przyciszony, przytłumiony i niższy w tonach. Powoli wróciły jej dawne nawyki, przechadzek po parku i zajęcie to w ogrodzie, to w domu, krzątała się, czerpiąc sztuczne siły w myśli o szczęściu Andrzeja. Te lzy, które w ostatnim momencie rozstania uczuła na czole, były jej drogimi jak najcenniejsze perły miłości, ale powiedziała sobie, że powinny być ostatnie! Andrzej nie powinien już być nigdy zapłakać z jej powodu. Postanowiła, aby ich rozdziłał, nad którym bolał przecież, nie kosztował go już żadnej boleści cierpkiej — chciała, aby rzecz odbyła się bardzo łagodnie, bardzo delikatnie. Było to jej obowiązkiem kobiety kochającej, kobiety nie egoistki. Tylko pierwsza ofiara była najprzykrzejszą, bo potem przyzwyczai się powoli do stanu nieuniknionego: oburzała się też na siebie, że była z początku tak samolubną, i tak gwałtownie walczyła o szczęście własne, które musiałoby kosztować Andrzeja. Bo jakież były jej prawa? Czyż to nie on dał jej zakosztować jedynego szczęścia, jakie miała na ziemi? Anielskie, niebiańskie było to szczęście, którego nie była by zaznała nigdy, gdyby on, Andrzej, nie był jej kochał? Wspomnienie nie opuści jej nigdy i zabierze je ze sobą do nieba samego...

Było też jej zadaniem najwyższem jej dni i nocy, aby teraz odwdziżyć mu się za to, choćby oplacając ten wysidek woli w najcięższy sposób. Chwila to była właśnie dowieść mu, jak wielką, jak niesamolubną była jej miłość dla niego!

Nie zesłabnie. Utrzyma się na wysokości swego obowiązku prawdziwej miłości. Andrzej nie ujrzy na jej twarzy wyrazu cierpienia, żadna troska nie przyjdzie mu nigdy przez nią zachmurzyć czoła. Niech się przesunie przez jego życie jak cień miły i słodki, niech nie zakłóci tego życia, nie zaszkodzi jego przyszłości.

W chwili, w której tego zażądał, odstąpi od niego i usunie się w cień łagodnie.

Jeżeli przeżyje rozłączenie, znajdzie w ofierze swojej rozkosz niejedną. Wszak będzie widywał Andrzeja co dzień, to tu, to tam, bo ich światowe, towarzyskie stosunki nie zerwą się. A jego dzieci! Będzie je mogła nieraz wiaść na ręce... Jak je będzie kochać niewypowiedzianie, ogromnie, szczególnie jedno — to, które będzie najpodobniejsze do ojca. Jakże będzie okrywać je pocałunkami, tajemnie, skrycie, jakgdyby to było występkiem kochać tę istotkę małą, która będzie mu tak bliską!... A przytem Alicja jest bardzo młoda, nie wychowana do życia rodzinnego, jej matka pewno nie będzie chciała pomagać córce, w tych rzeczach, a że Andrzej nie ma nikogo z blizkich krewnych, ona więc wsunie się tam powoli i zajmie miejsce babki, lub ciotki względem maleców ukochanych.

Płakała nieraz gorzko przy tych marzeniach, ale już w nich samych czuła pewną rozkosz, gryzącą, ale i słodką. Nie myślała też odgrywać roli heroiny. Powiedziała sobie, że tak a nie inaczej należy kochać, i miała słusność... Kto niezdołnym jest tak czuć — nie zaznał prawdziwej miłości, nie przyłożył ust do tej boskiej czary z najczystszo krysztalu, z której ludzie piją trunk płomieni, nigdy niegasnących. A ileż to istot ludzkich, takich nawet, które umiałyby czuć miłość gorąco, nie zostało nigdy ukochanych przez nikogo i serca ich biedne pozostały na zawsze puste. Zapelniają się tylko tęsknotą za szczęściem niezakosztowanem nigdy? Ci dopiero są prawdziwie wydziedziczonymi z najśrodszych, z najtkliwszych radości życia i ci nie mogą tego nawet, co ona: aby dawszy najpierw ukochanemu całe serce swoje, miały jeszcze dolożyć coś do tego...

I Marya poczęła doświadczać tej niecierpliwosci ludzi hojnych, którzy nie chcą zwlekać długo z darem, jaki pragną uczynić. To też w kilka dni po widzeniu się z Andrzejem, czując się kiedyś mocniejszą, bo zwykłym jej stanem było niedość osłabienie, wzięła się do pióra i napisała do niego. — Moja miłość, przywiązanie moje do

ciebie jest za głębokie, za prawdziwe, abym się miała cofnąć przed poświęceniem potrzebnym dla twego szczęścia. Ale, co ja piszę o poświęceniu? To będzie tylko nowy datek z mej strony: jak niegdys wzajemność, jak niegdys miłość, tak teraz przynoszę ci w ofierze rezygnację, spokojne podanie się woli twojej, czy przeznaczenia. Płacę w tej chwili z radości, że mogę jeszcze coś uczynić dla ciebie.

— Bo prawda, że cię to uszczęśliwi, o ty mój ukochany wiecznie! że własną ręką, bez szlochań i szarpań się bolesnych rozemknę ogniwo łańcucha, który nas spajał niegdys, a który zaciężył ci teraz i nosić go już nie chcesz. Nie—moja miłość nie chce ci być okowami niewoli, nie—jesteś wolnym, Andrzej mój!

— Kiedyś, gdys był ptakiem młodym, ledwo że puszczał się w życie, przysięgałeś mi pozostać na wieki przy sercu mojem. Wtedy i ty, i ja wierzyliśmy jednakowo, że tak być może, bo słodką jest wiara w nieskończoność szczęścia. Ach! cóżby to było przecież, gdyby potrzeba miłości innej była się ozwała w sercu twojem już wtedy, kiedy nie byłabym mocna rozwiązać cię ze słubów, łączących nas?

— Teraz mam jeszcze moc po temu i używam jej: jesteś wolnym Andrzej... Te przysięgi, które słyszał tylko Bóg i ja—niech zostaną zapomniane przez nas oboje, przekreślone i wymazane z księgi naszych istnień. Oddaje ci, zwracam te obietnice święte! Rozwiń skrzydła ptaka mój piękny, uleć na gałęzi innej i tam wij gniazdo twoje. Mnie zostanie wspomnienie. Są to kwiaty, które dla mnie będą mieć jeszcze woń i życie, choć dla ciebie będą już zwiędłymi i zeschłymi. Tobie też rozwiną się inne i Bóg, który patrzy w serca, wie, że pragnę najwyżej, abys nigdy nie pozalał tanich—dawnych. Niemiej też żadnych wyrzutów sumienia. Zapłakałeś nademną i cierpiś teraz może myślą o cierpieniu mojem, niepokoisz się tem, jak je zniesie potrafię? Nie lękaj się... W chwili gdys się oddalał odemnie, sądziłam, że umieram, ale to była słabość—chwilowa. Nie powtórzy się już nigdy więcej i mogłabym deptać nogami serce własne, gdyby szalone chciało jęczyć i dręczyć cię jękami temi.

— Wierzaj mi, że jestem szczęśliwa przez tę siłę serca mego, nieznana dotąd mnie samej. Nie walcz więc ze sobą i spokojnie zaczynaj nowe życie serca. Musi to być rzecz naturalna, skoro pragnienia takie rodzą się w sercach niemal ogółu ludzi i może takie jak ja istoty, zdolne do jednej tylko miłości, są zjawiskami wyjątkowemi.

— Ale Andrzej mój, zachowaj ty dla mnie trochę—trochę choć uczucia życzliwego i pochwal mnie w sercu twem za męstwo moje. Bo Andrzej, to jest męstwo jednak, męstwo, które nie przychodzi łatwo. Walczyłam jednak tak, że to zdobyła—bo kocham cię więcej, niż siebie!

— A ty nie będziesz niewdzięczny, prawda? Ja cię chcę kochać zawsze, zawsze i dla proszę ciebie i Boga, abys był zawsze dla oczu ducha mego tym moim Andrzejem dawnym—pięknym i szlachetnym...

Gdyby Andrzej był odpisał natychmiast po odebraniu tego listu, gdyby odpowiedź jego była przyszła w chwili, gdy exaltacja uczucia, podtrzymywała Maryę, była może zdolną przyjąć bez śmiertelnego ciśnienia serca tę nawet nowinę, że Andrzej rzeczywiście chce przyprowadzić do skutku to, co przypuszczała, to że żeni się z Alicją, że żeni się wkrótce. Ale on zwlekał, a biedna kobieta przechodziła fazy uczuć różne. Mimo wszystkiego, czego doświadczyła od Andrzeja, mimo wszystkiego, co mówiła i pisała, na dnie jej serca tkwił pyłek nadziei, która się zabić nie dawała. Nie odebrawszy listu

zwrotną pocztą, zamysliła się niespokojnie, lecz nie bez skrytej nadziei. To dowód, że jeszcze nie ma nic pewnego, że Andrzej jeszcze się może wacha, namyśla się... A nuż nagle miłość dawna zwycięży nową? Bywają; szczególnie u mężczyzn, miłości, które przechodzą, nie nadwreżając w niczem miłości prawdziwej, noszonej w sercu. Istnieje mnóstwo przykładów tego. Andrzej, czując się związany, mógł właśnie przez uczucia tych więzów doznawać rozdrażnienia i rwał się do buntu serca, które przecięło, gdy ona biedna zwróciła mu słowo, uspokoiło się i wyklarowało pod uczuciem swobody. Na drugi dzień milezenia Andrzeja, jeszcze dalej unosiła się w marzeniach. Pewno sam przybędzie, w miejsce listu da jej odpowiedź ustną... A jaką? Biedaczka marzyła szalonymi snami nadziei. Może tego, lub następnego wieczora usłyszy nagle skrzyp kroków pod oknami, i otworzą się drzwi, ukaże się jej w nich postać droga! Ach! Boże! Boże! jego postać! O szczęśliwości, on ją pochwyti w ramiona i zawoła:—Ty jedna i jedyna, ty tylko będziesz i pozostaniesz na zawsze moją ukochaną i staniesz się małżonką moją, złączoną ze mną węzłami, które już śmierć tylko rorywa...

Tak marzyła szalona, a te marzenia, kazaly znowu sercu uderzać biciem dawnem. Radosne drżenie przywracało rumieniec licom, a ogień krwi, krążącej żywiej w żyłach. Odżywała, gdy narzeczcie przyszedł od Andrzeja list taki:

— Dziękuję ci, poświęcona przyjaciółko, dziękuję i proszę o przebaczenie za to, że zwątpiłem o tobie na chwilę. Siła twego serca, siła twego uczucia dla mnie była mi znana, a mimo to trudno mi było żądać od ciebie zwolnienia z tego zobowiązania, które nas łączyło od chwili, gdys została wolną. A ty sama wychodzisz na przód, ty szlachetna, anielska istoto! Zawsze też byłaś wyższą odemnie; czułem to, jak czuję i w tej chwili, że nie jestem zdolny wznieść się do takiej enoty wzniósłej, która cię wywyższa w mych oczach nad wszystkie kobiety świata. Nie jestem, nie byłem nigdy godnym ciebie—ja, człowiek popolity—twoje poświęcenie, porównane z kruchością moich uczuć, z niewiernością mą dla ciebie przynięta mnie i wykazuje tem silniejszą różnicę istniejącą między nami. Pokochałem też Alicję tem uczuciem namiętnem i szalonym, jakiemu ty, nie dałaś się nigdy rozwinąć w sercu mojem i wcieliłaś się w miłość mą dla ciebie. Ach! jest to może tylko gorączka młodości, nie zużyta dotąd i która teraz uderzyła na mnie potęgą niezrównaną. Jak do tego doszło? sam niewiem. Ta świeżość młoda, ten rozkwit wiosenny, potęga powabów, nie anielskich i ziemskich tylko, ale właśnie tem silniejszych, pociągała mnie do siebie—aż wciągnęła w przepaść. Przysięgam ci Maryo, że się opierałem—długo, że nie walczyłem. Wiem com ci winieni nieraz myśląc o podobieństwie takiej chwili, jak ta, która nadeszła, mówiłem sobie że potrafię zdusić rzecz w sobie i nie pokazać ci nigdy, że serce które należało kiedyś do ciebie, może stać się niewiernem. Myślałem tak, gdy pytałem sam siebie, czy miłość moja potrafi przeżyć długą próbę lat i smutnego położenia, w jakim los nas postawił. Potem też—o Maryo czy ty to pamiętasz?—potem nagliłem o nasz związek, bom się zaczął spostrzegać sam zmienionym. Trzeba było fatalności, aby ten kwiat ponętny, rozwinął się tak nagle między nami i wtedy właśnie, gdy był już tak blisko połączenia się naszego na zawsze.

—Ale ty mnie rozumiesz o duszo anielska! wolny, czy związany z tobą, już nie należałem do ciebie przez tę siłę gorącą, która stać się może szalem, jak to doświadczyłem na sobie. Ty, ty jesteś święta i ostatnia ofiara twoja daje ci też aureolę na czoło. Istnieje w sercu mojem wielkie i nieograniczone uczucie dla ciebie, które nie wiem przecież, jak nazwać. Najlepsza, naj-

czystsza cząstka istoty mojej będzie zawsze twoją własnością, nie poświęć też ani jednej łzy tej reszcie mnie nędznego i lichego człowieka, który cię zdradza i opuszcza dla innej. Zostań na zawsze w jasności i pogodzie twej wzniósłej, która cię jeszcze wyżej niż kiedy podnosi w oczach moich. Uwielbiam się stokroć wyżej i silniej, niż kochałem cię kiedykolwiek namiętnością gorącą pierwszej młodości mojej...

Zatem wszystko było skończone—bezwrotnie i beznadziejnie skończone. Nie Alicya nawet odbierała jej Andrzeja—o nie, sam jej to wyznawał, że ona nieszczęśliwa już go nie miała od dawna!

Marya przeszła przez to straszne uczucie ludzi, którzy lecąc w przepaść uchwycili się nagle gałązki jakiejś i zdołali utrzymać się na niej, zawisnąć w powietrzu. Już nadzieja ratunku błysnęła im i oto czują naraz, że gałązka kruszy się im w rękę. Marya doznała rozpaczego zawrotu głowy i wydarł jej z piersi krzyk, błagający ratunku. Nie chciała pójść na dno, umrzeć. Cała istota jej wstrząsnęła się i wykreśliła w kurczach okrutnych. Exaltacja moralna już przestała podtrzymywać jej, skrzydła anielska złamała się i pozostała tylko kobieta kochająca namiętnie i szamocząca się rozpacznie z nieszczęściem opuszczenia, wydając szalony krzyk bólesci.

— Andrzej! pisała—skłamałam: skłamałam przed sobą i tobą. Nie mogę, nie chce cię odstąpić, tyś jest mój, ty do mnie należysz, jak własne ciało moje. Pojmujesz mnie fałszywie i nie jestem świętą, nie jestem aniołem: jestem kobietą, kocham cię nad wszystko w świecie i chcę być twoją—twoją na zawsze, żoną i kochanką. Co mnie obchodzi fantazyja twoja dla Alicji? Jest to szal i zbrodnia, bo słuchaj mnie Andrzej: umrę, gdy mnie opuścisz umrę! umrę!... Czy chcesz mieć to na wesele? Boże Wszehmocony! jak ty mnie kochałeś niegdys... Czy byłam dla ciebie pierwszą lepszą, przypadkowo spotkaną na drodze twej kobietą, z którą bawi się w miłość, a potem rzuca się i odchodzi. Nie—w oczach twoich widziałam co innego... I po tylu latach... Andrzej nie mów, że mnie już nie kochasz, bo przecież nie jesteś potworem. Ty jesteś moim—moim Andrzejem, jakiego znałam tak długo i tak dobrze... Czy nie widzisz, że nie mogę zniesić tej bólesci? Chciałam ją zdusić, a ona mnie zabija. Litości Andrzej! To ja, Marya, wybrana twoja, twoja ukochana, siostra twoja, twoja narzeczona oblubienica, ta która cię kochała i kocha wszelkimi rodzajami miłości, przyzywa cię. O Andrzej nie zapomnij, nie zapomnij.

Papier, który zaniósł Andrzejowi te słowa namiętnego wezwania był cały zalany łzami. Niejeden wyraz został też zamazany, i on nie silił się też odczytać go. Po co? Odczytuje się dwadzieścia razy pierwszy bilecik kobiety kochanej, ale list ostatni... nie otwiera go się najchętniej! Andrzej jednak podniósł się do takiej wspaniałomyślności, że odpisał.

— Maryo! doprowadzasz mnie próżno do rozpaczki. Już zapóźno teraz, słowo już padło i cofnąć go nie mogę. Uspokój się, staraj się pocieszyć—zapomnij.

(Dalszy ciąg nastąpi.)